Nr. 5. Kraków, maj 1911. Rok XII.




PISMO DLA WSZYSTKICH
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:
rocznie . . kor. 2·00 | za granicą . marek 2·00
półrocznie . „ 1·00 | pojedynczy numer 20 gr.
W państwie rosyjskiem:
Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 60 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II. P.

## Nadzieja — wiosna.

Rozpinam znowu namiot mój,
W gałęzie świeże winę,
Wiosennych tchnień, ożywczy zdrój
Przenika serc głębinę.
Czy długo będzie kwiat mój trwał?
Czy zwiędnie znów za chwilę?
Upadnie martwy w proch i pył,
Tak — tyle kwiatów — tyle!..
Cokolwiek w drodze spotka los,
Czy zwarzy mróz o świcie,
Nadziei ze mnie bije głos!
Nadzieją! kraszę życie.
Więc znów rozbijam namiot mój,
Śród wonnych łąk kobierca,
I leję tchnień ożywczy zdrój
W zwątpiałe ludzkie serca.

*A. B.*

Zakopane w kwietniu.

## TRZECI MAJ.

r. 1791.

Na warszawskim rynku
Chorągwie się chwieją,
Zajaśniała wiosna
Majową nadzieją!
Zajaśniała wiosna,
Nad ojczystym łanem,
Dziś się w służbie dla ojczyzny
Chłop porównał z panem.

Na warszawskim rynku.
Tam muzyki grają,
Stanowi kmiecemu
Bracia prawo dają.
Nadają mu prawo,
By bronił tej ziemi,
Razem z innymi rycerzami
Jak z braćmi starszymi.

Na warszawskim rynku,
Tam naród zebrany,
Idą karmazyny,
Idą i mieszczany.

Pan Andrzej Zamojski
Idzie z kmieciem w parze,
A z czeladzią tą cechową
Idą dygnitarze.

Radzili na sejmie,
Całe cztery lata,
Uradzili, że się
Naród w jedno zbrata.
Czas ci, Polsko, zgoić
Twoje ciężkie blizny!
— Wszyscy dzisiaj równi sobie
W obliczu Ojczyzny.

Na warszawskim rynku,
Biją wszystkie dzwony,
Wolnych synów Polsce,
Przybyły miljony.
Idą do katedry,
Do świętego Jana,
Złoto — przy kapocie,
Przy delii — sukmana!

O ty dniu radosny,
O ty trzeci Maju,
Zapachniałeś kwieciem
W całym polskim kraju.
Zapachniałeś kwieciem
Najsłodszej wonności:
— Miłością Ojczyzny,
I bratniej jedności.

# Polska i jej granice.

## Po zwycięskich bojach.

(Ciąg dalszy.)

Wśród tych przygotowań wojennych, zakłóciła spokój Rzeczy pospolitej sprawa Zborowskich, którzy nie mogli pogodzić się z doznanym zawodem. Starając się o wprowadzenie na tron polski Stefana Batorego sądzili, że owładną rządami Rzeczypospolitej i panować w niej będą — tymczasem król sam ster spraw publicznych dzierżył a rady zasięgał u Zamoyskiego i innych senatorów, których uważał za oddanych dobru Rzeczypospolitej, a nie dążeniu do osobistych i rodzinnych celów.

Sprawa Zborowskich objawiła się najpierw powrotem Samuela Zborowskiego do Polski. Wiadomo, że był on skazany za zabicie Wapowskiego, w czasie uroczystości koronacyjnych króla Henryka, na wygnanie z kraju, pod zagrożeniem karą śmierci, w razie powrotu do ojczyzny.*) Samuel Zborowski bawił jakiś czas na dworze Stefana Batorego, gdy ten był jeszsze księciem siedmiogrodzkim, następnie zaś udał się na Zaporoże, gdzie uzyskał godność atamana koszowego. Doznawszy jednak wiele przeciwności na tem stanowisku, wkrótce je porzucił i licząc na przychylność króla Stefana powrócił samowolnie w granice Rzeczypospolitej, nie dbając o grożącą mu karę śmierci. Gdy wieść się o tem rozeszła, król i Zamoyski upominali kilkakrotnie zuchwałego szlachcica, ażeby nie sprzeciwiał się prawu i bezzwłocznie z Polski wyjechał; on jednak nie tylko nic sobie nie robił z tych upomnień, ale przybył do województwa krakowskiego i przejeżdżał się w gronie przyjaciół po starostwie krakowskiem naigrywając się z Zamoyskiego, który obok innych godności, piastował także urząd grodzkiego starosty krakowskicgo i obowiązany był do karcenia podobnych wybryków w okręgu swojej starościńskiej władzy. Wkrótce więc wyczerpała się cierpliwość Zamoyskiego, wysłał oddział wojska, kazał pojmać Samuela Zborowskiego i osadził go w więzieniu na Wawelu, o czem bezzwłocznie zawiadomił króla bawiącego podówczas w Grodnie, z zapytaniem co ma z więźniem uczynić? Król, który nie myślał ukracać swobód narodowych, był przecież nieprzyjacielem wszelkiej swawoli, sądził więc, że trzeba surowo ukarać lekceważenie prawa i polecił Zamoyskiemu, ażeby wykonał wyrok wydany na Zborowskiego. Jakoż dnia 26. maja 1584 r. ścięto tego zdolnego, ale zuchwałego i niespokojnego człowieka, na bocznem podwórzu wawelskiego

*) Nr. 8 i 9 „Przodownicy" z r. 1910. str. 123.

zamku. W owych czasach, we Francyi, w Anglii i w innych despotycznie rządzonych państwach, wyroki śmierci wykonane na najwyższych dygnitarzach państwa i najmożniejszych obywatelach kraju, należały do rzeczy częstych i zwykłych, w Polsce jednak były czemś całkiem niezwyczajnem i zgoła niebywałem. To też ścięcie Samuela Zborowskiego wywarło nadzwyczaj wielkie wrażenie, z czego korzystając bracia jego rozwinęli nienawistną agitacyę przeciw królowi, obwiniając go o okrucieństwo i uciskanie wolności. Wskutek tego na sejmie, zwołanym w styczniu 1585 do Warszawy zaniosło się na wielką burzę — uprzedził ją jednak król Stefan, przedkładając sejmowi listy Zborowskich: Samuela, Krzysztofa i Andrzeja, z których wynikało, iż zmawiali się z Moskwą i Zaporożcami na szkodę Rzeczypospolitej i uknuli spisek na życie króla. Złożono sąd sejmowy i skazano Krzysztofa Zborowskiego na utratę czci i wygnanie.

Stanowcze postępowanie króla uspokoiło wzburzone umysły i sejm następny, który się miał odbyć z początkiem 1587. roku, w celu uchwalenia funduszów na nową wyprawę przeciw Moskwie, zapowiadał się bardzo pomyślnie, gdy niespodzianie po kilkodniowej chorobie, król Stefan umarł w Grodnie, dnia 12. grudnia 1586. roku, licząc dopiero 53 lat życia swojego.

Przedwczesny zgon tego dzielnego króla, był niepowetowaną stratą dla Polski, pozbawił ją bowiem możności wykonania jego daleko sięgających zamiarów, które doprowadzone do pomyślnego skutku, byłyby zapewniły Rzeczypospolitej trwałą i niczem złamać się niedającą potęgę.

## Król Zygmunt III.

Stefan Batory pozostawił Polskę wielką i potężną. Granice nasze sięgały daleko poza Dniepr i Dźwinę, wewnątrz Rzeczypospolitej obok wspaniałej wolności, panowały porządek i spokój, a na czele jej stali ludzie tej miary, co Jan Zamoyski, znakomity wódz i kierownik spraw publicznych, a zarazem gorący miłośnik ojczyzny i wolności. Ogół rządzącego Rzecząpospolitą stanu rycerskiego był cnotliwy, dzielny i ojczyznę miłujący, nie brakło jednak i warchołów, osobistości niespokojnych, dążących wyłącznie do samolubnych celów, jak Zborowscy, wojewoda poznański Górka i inni. To też gdy dnia 19. sierpnia 1587. roku, za sprawą Zamoyskiego i królowej Anny, królem polskim obrano królewicza szwedzkiego Zygmunta, Zborowscy i ich przyjaciele, podmówiwszy kilku senatorów i niektórych posłów sejmowych, wnieśli protest przeciw dokonanemu wyborowi i zaprosili na tron polski, wbrew woli narodu, a więc bezprawnie, arcyksięcia austryackiego Maxymiliana.

Zygmunt, syn króla szwedzkiego Jana III. i Katarzyny Jagiellonki, rodzonej siostry Zygmunta Augusta, był po matce Polakiem i pochodził z ukochanego przez naród polski rodu Jagiellonów — Maxymilian zaś, jako Niemiec i książę samowładny, któremu trudnoby było pogodzić się z polską wolnością, nie posiadał przychylności Polaków, a wziął się do jej pozyskania bardzo niezgrabnie, gdyż wkroczył do Polski na czele licznych zastępów austryackich, chcąc siłą oręża zdobyć bezprawnie ofiarowaną mu koronę. Nie udała mu się jednak ta jego zuchwała wyprawa, pobity, dnia 25. listopada 1587. roku, pod Krakowem, musiał ustąpić z drogi zdążającemu z dalekiej Szwecyi Zygmuntowi, którego ukoronowano na Wawelu dnia 24. grudnia, poczem Zamoyski wyruszył na czele niezbyt licznego wojska przeciw Maxymilianowi. Dopędził go na Śląsku pod Byczyną, dnia 25 stycznia 1588. r., wojsko Maxymiliana rozgromił, a jego samego wziął do niewoli i odesłał do Krasnegostawu. Tu spędził arcyksiążę rok cały i dopiero po zrzeczeniu się wszelkich pretensyi do korony polskiej i do tytułu króla polskiego, odzyskał wolność.

Nowy król, Zygmunt III., chociaż pochodzący z ukochanego rodu Jagiellonów, nie przyniósł szczęścia Rzeczypospolitej. Urodzony w owym jeszcze czasie, gdy ojciec jego był księciem finlandzkim i gdy tegoż więził wraz ze żoną, brat, król szwedzki Eryk, a więc urodzony we więzieniu *) był Zygmunt człowiekiem ponurym, małomownym i nieprzystępnym: miał więc usposobienie wprost przeciwne temu, jakiego potrzebował król narodu wolnego, o naturze swobodnej i wesołej. Prócz tego jako królewicz szwedzki, był następcą tronu ojca swojego, Jana III. Okoliczność ta na pozór pomyślna, pociągnęła za sobą nader przykre następstwa dla Polski, wciągnęła ją bowiem w długoletnią wojnę ze Szwecyą i naraziła na ogromne klęski i straty. W listopadzie 1592 roku umarł Jan III., wskutek tego król Zygmunt w roku następnym pojechał do Szwecyi i ukoronował się na króla szwedzkiego; gdy jednak musiał wracać do Polski, oddał rządy nad Szwecyą, stryjowi swojemu, Karolowi księciu Sudermanii. Szwedzi wyznawali już wówczas wiarę protestancką, król Zygmunt zaś, wychowany przez matkę w religii katolickiej, był gorliwym katolikiem i chętnie byłby widział powrót narodu szwedzkiego na łonu katolickiego kościoła — skorzystał z tego książę Karol. Straszył Szwedów gorliwością religijną i fanatyzmem katolickim Zygmunta, starając się równocześnie o ich względy i popularność pomiędzy nimi. Tę osiągnąwszy, wypowiedział posłuszeństwo Zygmuntowi i sam się królem szwedzkim ogłosił. Rzeczpospolita pragnąc uniknąć wojny, uznała że zatarg z Karolem jest sprawą prywatną króla. Inaczej się przecież zapatrywał na to Karol i uważając Króla Zygmunta i Rzeczpospolitą za jedno, napadł na Inflanty. Na razie bardzo mu się nie powiodło, najpierw bowiem zbrojne jego zastępy poniosły liczne klęski od wojska litewskiego, pod wodzą Krzysztofa Radziwiłła, hetmana wielkiego litewskiego oraz od wojska koronnego, prowadzonego przez Jana Zamoyskiego, następnie zaś, gdy wskutek tych klęsk, wyprawił się sam do Inflant, został na głowę pobity pod Kircholmem dnia 27. września 1604. roku, przez hetmana polnego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza.

Wspaniałe to było prawdziwie polskie zwycięstwo. Karol stanął do boju w czternaście tysięcy ludzi, z liczną artyleryą. Chodkiewicz miał tylko 3500 jazdy, umiał jej jednak tak znakomicie użyć, iż po krótkim boju rozbił w puch szwedzkie zastępy. Dziewięć tysięcy Szwedów padło na polu bitwy lub poszło w niewolę, 60 chorągwi, 11 dział szwedzkich i cały obóz nieprzyjacielski dostały się w ręce Polaków. Karol, pod którym ubito konia, uszedł śmierci, lub niewoli, jedynie dzięki poświęceniu swedzkiego żołnierza, który podał mu swego wierzchowca, a sam padł zabity. Reszta Szwedów uciekła w szalonym popłochu na brzegi morza Bałtyckiego, o dwadzieścia kilka kilometrów odległe od pola bitwy, wsiadła na okręty i razem z Karolem, który w ucieczce zgubił kapelusz, uszła do Szwecyi. Nie wszystkie przecież okręty szwedzkie zdołały uciec dwa z nich, nie dość chyżo odbijające od lądu, dostały się w ręce lekkiej jazdy polskiej, która ze szaloną odwagą i prawdziwie rycerską fantazyą, rzuciła się w morskie fale, dopłynęła do tych statków i wzięła je w niewolę!

Takich żołnierzy miała polska w owe dnie wolności i chwały.

Świetne to zwycięstwo nie zakończyło przecież wojny szwedzkiej, odroczyło ją tylko na czas jakiś. Przez to samo jednak uczyniło wiele dobrego Rzeczypospolitej, gdyż dało jej czas do rozwikłania innych spraw i przebycia innych wydarzeń.

(C. d. n.

*) Przodownica Nr. 11. z r. 1909 str. 198.

# Do bociana.

Powróciłeś już bocianie,
Ty wędrowny ptaku
Kto ci drogę pokazywał?
Po słonecznym szlaku?

Kto cię ku nam wiódł przez morza,
Przez lądy i skały?
Chyba one echa tęskne,
Co ci z wiatrem grały.

Chyba one krzyże czarne,
Po rozstajach drogą;
I te szare mgły płynące,
Nad ziemią niebogą.

Zostań u nas, mój bocianie,
Zostań, miły bracie,
My ci gniazdo odbudujem.
Na Piastowej chacie.

Zostań u nas, chociaż boli
Choć dmie wichr po łące,
Nieś nam wiosnę, nieś nam dolę,
Polsce — przynieś słońce!

*A. B.*

# O obowiązkach żony i gospodyni.

**Jakże to pracować na zgodę i miłość?** Przedewszystkiem sama dawaj z siebie całemu domowi przykład, jak to można przeżyć cały dzień, i nikomu słowa przykrego nie powiedzieć, nie rozgniewać się ani razu, nie zachmurzyć się nawet, ale z czołem pogodnem i uśmiechem na ustach łagodnie do każdego się zwracać.

Czyż mógłby ci mąż słowo niemiłe powiedzieć, jeżelibyś ty od rana przywitała go dobrem słowem, dała mu śniadanie gorące, smaczne, w czystem naczyniu, jeżelibyś uklękła i z nim razem głośno ranny pacierz zmówiła? Gdyby nawet był niecierpliwym złośnakiem, to by go cała złość odbiegła i jeżeli nie pierwszego dnia, to za parę dni oduczyłby się złości napewno.

Jeżeli cię w ciągu dnia coś do złości pobudzi, nie trać zaraz panowania nad sobą, nie krzyknij; przeciwnie lepiej wyjdź z mieszkania, zmów pocichutku „Zdrowaś Marya“, ochłoń z pierwszej złości i potem zastanów się czy warto się rozgniewać. Jeżeli ci kto szkodę zrobił, czy ta szkoda wróci się z twego krzyku, gniewu, przekleństw? Jeżeli ci kto hardo, kłótliwie wymyśla, to czy ci się zdaje, że przestanie,gdy ty mu nawzajem odpowiesz jeszcze hardziej? Nie, ten kłótnik— czy to mąż, czy sąsiad – tylko tego chce, żeby rozzłościć, do kłótni wciągnąć a potem módz rozpuścić język i do reszty złość na ciebie wylać; coraz bardziej dopiekać ci będzie, coraz przykrzejsze słowa posypią się na twoją głowę, jeżeli tylko tak samo odpowiadać będziesz. A jeżeli zamilkniesz i odejdziesz spokojnie do swej roboty, to i on będzie musiał również zamilknąć i wszystko prędzej się skończy. Dobry przykład lepszy jest od wszelkich rad i nauk. Dobrym przykładem więcej nauczysz przez dzień, niż wymówkami przez rok.

**Jakże więc postępować z mężem, gdy jest kłótnik i złośnik?** Gdy dobry twój przykład, jak to żyć można bez swarów i złości, nic nie pomoże i mąż twój bez powodu coraz to z gniewem do ciebie przyskoczy, postaraj się mu wytłómaczyć, że postępowanie takie jest obrazą Boską, że psuje wam szczęście małżeńskie i spokój domowy, że zły przykład daje domownikom i dzieciom. Ale nauki te swoje zawsze wtedy zaczynaj, gdy mąż jest już spokojny i gdy nikt was nie słyszy; przy dzieciach, ludziach obcych, lub nawet rodzicach nigdy żadnych uwag i nauk mężowi nie dawaj, bo to go znów napewno rozgniewa i zamiast korzyści, tylko szkodę wam przyniesie. Rady te dawaj mu w sposób miły, bez uszczypliwych wyrazów i gniewu, najlepiej wieczorem, gdy wszyscy spać będą, a wy sobie sami zostaniecie. Powiedz mu tak: – Czy

ty byś mężu chciał, żebyśmy się zawsze kochali i do śmierci szczęśliwie z sobą żyli? — On ci z pewnością powie, że chciałby. Wtedy mu zarzuć ręce na szyję i mów serdecznie.

— A czy ty myślisz, Franusiu, że miłość i szczęście samo się w naszym domu utrzyma? Nie, my musimy dobrze go pilnować i strzedz, żeby nie uciekło. A ty, Franusiu, tak robisz, jakbyś i miłość i szczęście ciągle wyganiał z domu.

— Jakże to? — spyta cię mąż.

— A, no, każde twoje do mnie ostre słowo, każda dla mnie obelga lub przekleństwo, to mi z serca trochę miłości wygna i choćbym chciała zapomnieć ci to, nie mogę; i tak dzień po dniu ubywa mi tego kochania, aż może przyjść chwila, że nic a nic nie będę czuła do ciebie, tylko niechęć. Czy nie żal ci będzie wtedy zmarnowanego szczęścia?

Po takich słowach mąż z pewnością ucałuje cię i przeprosi. A ty go wtedy poproś:

— Jak ci się we mnie co nie podoba, to mi także powiedz, ale tak, jak ja tobie teraz mówię, w samotności, bez gniewu. Ja chcę ci dogodzić, tylko mną nie poniewieraj przy udziach, przy dzieciach, bo mnie to bardzo boli, a tobie to bardzo ubliża.

Gdy tak raz i drugi do męża przemówisz a on przekona się, że naprawdę łagodnego słowa usłuchasz, to z pewnością postara się poprawić. Gdyby jednak takie postępowanie twoje nic nie pomagało, to już złóż tę całą sprawę w ręce Boże, módl się gorąco i szczerze o poprawę dla męża, a postępowania swego nie zmieniaj. Złością za złość mu nie oddawaj, do jego win nie dodawaj jeszcze swoich i pamiętaj, że złością nikt nikogo dobroci nie nauczy.

*P. Restorfowa.*

## Do moich lip!

O drzewa wy moje drzewa!
Wy moje lipy serdeczne!
Zaszumcie mi pieśń ostatnią
Na rozłączenie — na wieczne!

Szumiałyście wy mi nieraz
Nad moją głową stroskaną,
Kiedy zwracałam z żałością
Ku wam, twarz łzami zalaną.

I każdą mą dolą, niedolą,
Wam się skarżyłam w cichości
A wyście szemrząc — roniły
Nademną łzy rosy z żałości.

Wyście swą wonią czarowną
I szmerem listków łagodnym
Chłodziły skroń męża mego
Czyniąc go słodko pogodnym.

Wyście na główki mych dzieci
Kwiat złoty hojnie sypały
I nieraz swym słodkim szmerem
Do snu je ukołysały!

Zaszumcie mi raz ostatni
Bo idę od was na wieki
Idę w krainę łez gorżkich
Idę w świat tęsknoty daleki!

Jadwiga Szegdziańska.

## Ruch przeciwalkoholowy w kraju.

**Z Rabki.** Pod hasłem precz „z karczmą precz z alkoholem" — przeżyliśmy rok 1910. Karczmy, ich ograniczenie, wyrwanie chociaż w części z rąk żydowskich, to stały temat rozmów ludu naszego w tym roku, do którego powracał przy każdej sposobności. Bogu dzięki, mówił niejeden — od Nowego Roku nie będzie już karczmy we wsi naszej, mniej będzie awantur, zgorszenia, zapanuje spokój w niejednej rodzinie.

Precz z karczmą! — to stała rubryka pism ludowych. Reformujmy gospodarkę wsi naszych, ale zacznijmy od najpotrzebniejszej: wyrzućmy karczmy, zdejmijmy tę zmorę, gniotącą piersi ludu naszego, dajmy mu rozrywkę uczciwą, pożyteczniejszą, by stał się zdrowym pniem narodu, z którego wyjdą kmiecie i gazdowie o krzepkich głowach, sercach i ramionach, jak ich ojców, co pod Grunwaldem Krzyżaków tłukli, co w półtrzeciasta lat później za Jana Kazimierza ciupagami Szwedów pędzili z przepaścistych wąwozów górskich.

W tych stronach, gdzie niegdyś odłamy skalne miażdżyły szwedzkich rajtarów, na progu Podhala leży parafia Rabka. Dziś Szwedzi daleko za morzem, z innym wrogiem zmaga się lud tutejszy: z alkoholem! By przekonać się, że u nas alkoho-zbiera obfite żniwo, dosyć przejść się po tak zwanym „rynku"! Najpryncypalniejszy dom — to propinacya — długi, jak krakowskie Sukiennice, a sezon w nim cały rok.

Nie brakło i tu ludzi, duchem obywatelskim owianych, którzy myśleli o tem, jakby tych nieszczęśliwych, nieraz niewiedzących, co z sobą w niedzielę po nabożeństwie zrobić — zająć czemś pożytecznem. Niestety brak miejsca odpowiedniego stał temu na przeszkodzie. Aż w tym roku 1910 zbudowano dom gminny. Przy okazyi poświęcenia tegoż, tutejszy organista i dyrektor kasy Reiffeisena, p. Kołaczek, podniósł na nowo myśl założenia czytelni, dla której chętnie sali użyczy. Wszyscy przyklasnęli tej myśli pięknej, inicyator w czyn ją zamienił, sam przyjął ciężar przewodnictwa, stara się o prelegentów i odtąd każdej niedzieli sala po brzegi wypełniona.

Pierwsze początki istnienia upamiętniła Czytelnia tutejsza urządzeniem wiecu przeciw alkoholowego, dnia 18 grudnia 1910 r., na który „Eleuterya" krakowska przysłała prelegenta p. Kurtzmana. Na zapowiedziany wiec, chociaż doraźnie urządzony, zeszły się tłumy nietylko włościan miejscowych i okolicy, ale gospodyń, dzieci szkolnych, nauczycielstwo z parafii i inteligencya miejscowa. W skupieniu wysłuchali obecni słów prelegenta, przedstawiających w wykładzie p. t. „Walka z alkoholem i karczmą" — czem jest alkohol dla zdrowia jednostki i narodu, a popartych demonstracyami. Huczne oklaski i brawa, jakimi zgromadzeni nagrodzili słowa jego — świadczyły o tem, że trafiły do przekonania wszystkich.

Następnie przewodniczący wiecu, wikary X Wajda, wskazał zgromadzonym, że ograniczenie szynków, to dopiero początek wielkiego dzieła, że trzeba nam dążyć do tego, by przeprowadzić ustawę o zamykaniu szynków w niedzielę i święta, że obowiązkiem naszym jest przypominać tę sprawę posłom w drodze petycyi i rezolucyi wiecowych. Podniósł następnie ten piękny czyn licznych naszczęście gmin w kraju, które oświadczyły, że nie chcą mieć szynków u siebie, stawiając ich postąpienie, jako godne naśladowania i pochwały.

W dyskusyi podniosły się głosy w sprawie usunięcia karczmy w miejscu krzyżowania się 3 gościńców — jest od szeregu lat źródłem zgnilizny moralnej i ruiny materyalnej wielu rodzin tutejszych. To też właściciel tej karczmy, żyd Goldman wcale nie wierzył, że koncesyę po Nowym Roku otrzyma — tembardziej, że już dwa razy bankrutował. Ale ciemnota i alkohol, to dwa czynniki, które pomagają żydowi-karczmarzowi lud biedny wyzyskiwać. Oto jeden z obywateli skawiańskich, jeszcze radny, Józ. S., z latarnią w ręku późnym wieczorem, chodził po wsi z żydówką i zbierał podpisy, że karczma na Zaborni potrzebna. Jednogłośnie potępiono postępowanie tego radnego, jak i kilku innych, którzy ułatwili karczmarzowi otrzymanie koncesyi.

Wreszcie wezwał przewodniczący wiecu zebranych do kupowania i załatwiania wszelkich sprawunków przedewszystkiem u swo-

ich, u katolików — i przedłożył dwa wnioski, które przez aklamacye uchwalono:

Zgromadzeni obywatele parafii Rabka na wiecu przeciwalkoholowym 1) domagają się stanowczo od posłów swoich w sejmie i parlamencie przeprowadzenia ustawy o zamykaniu szynków w niedzielę i święta; 2) wyrażają uznanie i pochwałę tym gminom w kraju naszym, które szynki ze wsi swoich wyrugowały.

W zakończeniu tego sprawozdania podnieść należy zasługi Zarządu Krakowskiej „Eleuteryi“, który z inicyatywy swego członka Józefa Cieplika, a z naszej wioski Skawy, pochodzącego, ułatwia nam pracę oświatową w tym zakątku górskim.

Prócz wiecu, po wyżej streszczonego, nadmienić winienem, że „Eleuterya“ już w lecie zeszłego roku (1910) urządziła podobny wiec abstynencki połączony z obchodem grunwaldzkim i otwarciem Czytelni T. S. L. w Skawie. Mamy nadzieję — że i nadal nie poskąpi nam „Eleuterya“ swej gotowości i ofiarności z p. J. Cieplikiem na czele mimo niezasobnych podobno funduszów — w wysyłaniu prelegentów do naszych Czytelni w Rabce i w Skawie.

*Jeden z uczestników.*

# Wątpliwość.

Kto mi powie, kto odgadnie,
W głębi ocznych źwierciadełek
Co u dziewcząt siedzi na dnie:
Czy aniołek, czy dyabełek?

Bo, że siedzi, nie wiem co to,
Jakieś chłopię bez skrzydełek,
Widzi każdy — lecz rzecz o to:
Czy aniołek, czy dyabełek?

Bo raz na cię tak z pod powiek
Sypnie rajskich rój światełek,
Że choć przysiądz gotów człowiek:
Że to seraf, nie dyabełek.

A wtem znowu tak cię kolnie
Wzrok, jak gdyby ostrz igiełek,
Że aż krzykniesz mimowolnie:
— „Ach! to szatan, nie dyabełek!“

I ztąd wiecznie świat się biedzi
Jak rozwiązać ten węzełek.
Co w dziewczęcych oczkach siedzi:
Czy aniołek, czy dyabełek?

# Szanujmy język ojczysty!

Wdostatnio urządzonym pokoju domu mieszczańskiego ubierają się dwie hoże panny do kościoła. „Andziu“! mówi jedna z nich: „nie masz jeszcze paru harnadli“? Weź sobie, od tam leżą na nachkastliku“.

W chodzi do pokoju dziewczyna służąca. „Maniu“ mówi jedna z panien: „weź sztyflety pana a wypucuj tak aby miały śliczny glanc.

Z drugiego pokoju zagląda przez drzwi mama. „Zbierajcie się prędko dziewczęta i chodźmy, bo potem nie znajdziemy w kościele placu wygodnego“. „Zaraz mamo, zaraz, niech już nas mamusia nie kuniruje bo i tak się spieszymy bardzo“.

„A mój oberok oczyszczony“? pyta ojciec wchodząc do pokoju dziewcząt.

„Już tatusiu już! Przecież my jeszcze rano wszystko tatusiowi przyszykowały do ubrania.

Słuchajcie drogie czytelniczki! W tych kilku zdaniach ileżto okropnych, rażących błędów! A przecież rozmowa ta prowadzoną była w domu polskim! I nie dość, że język tak skażony, ale jeszcze do tego wszystkie te okropne słowa są szkaradnie przekręcone z niemieckiego, z tego niemieckiego przeklętego języka, do którego zmuszają w prusach biedne polskie dziecinki.

A przecież te dzieci biedne wolą katowanie do krwi, wolą wszelkie męki i udręczenia, jak mówienie pacierza w obcym nienawistnym języku!

A tu u nas, gdzie nikt nas nie męczy ani do porzucenia ojczystej mowy nie zmusza, u nas w rozmowie słyszy się także słowa, śmieszne, poprzekręcane, narażające nas na śmiech u obcych i rzucające nas w podejrzenie, że język nasz jest tak ubogim, że w nim słów brakuje do określenia niektórych rzeczy. A to przecież nieprawdą jest, bo niema dźwięczniejszej i bogatszej mowy nad polską a kazić ją naleciałościami obcemi, to grzech i wstyd. Czyż nie piękniej powiedzieć zamiast „harnadla" szpilka podwójna" a zamiast „nachkastlik" „nocna szafka", a zamiast „sztyflety" trzewiki" i nie „wypucuj" ale „wyczyść", nie „glanc" tylko „połysk"!? Czy nie lepiej powiedzieć „miejsce, jak „plac", „upomina" zamiast „kuniruje" a „zarzutka" zamiast „oberok"? i „przygotowałyśmy" zamiast „przyszykowałyśmy"? A to ledwie kilka słów napisałam takich, a ileż jest ich na nieszczęście w plątanych w naszą cudną mowę! Trudno już poprawiać starych, do młodych jednak należy przestrzeganie czystości języka naszego! Młodzi gdy będą uważali na to, jak mówią, wyzbędą się łatwo niepotrzebnych, obcych przekręconych wyrazów, a już ich dzieci kiedyś ani będą chciały uwierzyć, jakie śliczne kwiatki kwitły niegdyś w naszej drogiej, pięknej ojczystej mowie! Będą mówiły czysto i ładnie, tak, jak powinien mówić każdy porządny i rozumny Polak, każda dobra i miłująca swą mowę ojczystą Polka! Dajże to Boże!

*Jadwiga Szegdziańska.*

### Żarcik.

— Powinszujcie mi kumo! Wydaję córkę za rzemieślniczka!

— A za jakiego?

— Ta za kociubniczka!

Oj to dobrze, będziemy miały wszystkie we wsi zawsze nowe kociuby!

Ej, kiedy on nowych nie robi, tylko stare naprawia!

## DZIAŁ GOSPODARCZY.

### Pogadanka majowa. O podlewaniu roślin.

Wszystkie gospodynie na wsi w miastach — mając ogrody, mają teraz ciągle na ustach prośbę do Pana Boga o deszcz. Ogrody podkopane i pozasiewane — wszystko wschodzi aż miło — a tu posucha psuje nadzieje — wypala młode roślinki — a gdy patrzą na stałe pogodne niebo żal mnie zbiera, że gotowe wszystko pójść na marne. Niektóre gospodynie mające więcej czeladzi w domu starają się pomóc trochę swoim roślinkom i podlewają je, o tem podlewaniu chcę pomówić słów parę.

Zdawałoby się niektórej młodej gosposi, że naczerpnąwszy wodę wprost ze studni i podlawszy taką zimną źródlaną wodą rośliny przysłużą się im. A tu właśnie dzieje się przeciwnie! W czasie posuchy podlewać trzeba i kto tylko może, powinien to robić. Gdy się podlewa wodą wprost ze studni a do tego w porze kiedy słońce najbardziej grzeje, wtedy zamiast ożywić i pokrzepić roślinki spala się je do reszty.

Woda do podlewania powinna być wystałą i ogrzaną. Trzeba więc rano wodę nanosić ze studni do beczek lub balii i cebrów, a gdy ją przez cały dzień słońce wygrzeje i ociepli — przed zachodem trzeba zacząć podlewanie. Dobra i to bardzo jest woda ze stawu lub jakiej sadzawki — tę można używać wprost z miejsca do podlewania, bo ona jako stojąca woda jest dostatecznie przez dzień wygrzaną — a do tego jeszcze zawierając wiele różnych gnijących cząstek użyźnia i krzepi rośliny doskonale Gdy się polewa rośliny — nie powinno się lać wody z góry — nagle — tylko lekko puszczać prąd wody. Najlepiej do tego konewką blaszaną z sitkiem. Gdy jednak kto niema ta-

kiej, to trzeba czerpać wodę garnuszkiem a pochyliwszy się nad grządką podlewać z lekka rzędami wysuszone rośliny.

Jeżeli ziemia na drugi dzień po podlewaniu wyschnie i zaskorupi się, to trzeba ją delikatnie nożem poruszać dokoła roślin — aby ją trochę spulchnić. — A teraz trochę o roślinach. Naprzykład o maku! Mak, choćby rósł nie wiem jak dobrze z początku nie będzie ładny, jeżeli jest siany za gęsto a nie przerwany. Wyrośnie cienki, nikły i główki będzie miał drobne: Gdy się go przerwie i przerzedzi, — tak żeby jeden od drugiego choć na palec był oddalony — w kilku dniach się poprawi — pójdzie w górę i w liście bujne i grube a główki będzie miał ogromne. Tak samo trzeba robić z pietruszką i marchwią. Nie żałować — tylko przerwać aby roślinka jedna drugiej nie przeszkadzała a tem opłaci się nam sowicie — bo rośliny mając miejsce rozrosną się i dojdą do pokaźnej grubości. Marchew wtedy dopiero przerywać, gdy już są w ziemi drobne marchewki. Można je wtedy użyć do gotowania jako jarzynkę i nie marnuje się a reszta będzie ładnie rosła.

Powiadają stare doświadczone gospodynie: że ogórki przeznaczone do kwaszenia na zimę najlepiej sadzić w „zieloną sobotę" t. j. przed Zielonemi Świętami — Wyjdą one wtedy najpiękniejsze na sierpień — kiedy się je właśnie kwasić na zimę powinno. Ale gdy czasem schwyci niespodzianie malutki przymrozek przepadają ogórki, bo one, jak to każdemu wiadomo tkliwe są bardzo na chłody. Ogórki powinno się sadzić kilka razy aby były i wczesne i późne — oprócz tego dobrze jest sadzić i te drobne tak zwane korniszony do kwaszenia w occie. Wszystko to przyda się na zimę a przepis na to kwaszenie podam kochanym czytelnikom w właściwym czasie. — A teraz jeszcze o jednem! Wiadomo nam wszystkim jak bardzo zdrożały teraz wszystkie artykuły żywności. To też zadaniem każdej gospodyni jest zaopatrzyć się we wszystko w tym czasie kiedy jest o jaki artykuł najłatwiej Gdy prowadziłam większe gospodarstwo i miałam dużo kur — starałam się przechowywać jaja tak, aby na droższy czas nie trzeba było kupować po 8 hal. i więcej za sztukę. Więc gdy się kury niosły dobrze w marcu, kwietniu i maju, oprócz jaj użytych na codzienną potrzebę — resztę chowałam na gorsze czasy. W tym celu miałam paczki drewniane — niebardzo wysokie — (tak — aby się choć 4 warstwy jaj w nie zmieściły), ażeby ich tam weszło choć 3 kopy.

Miałam do tego już przygotowany, w zimie nazbierany z pieców popiół — przesiany przetakiem. Sypałam ten popiół na dno paczki grubo — a w nim układałam jaja cienkim końcem w popiół w ten sposób, aby jedno drugiego nie dotykało. Gdy całe dno paczki wyłożyłam jajami, sypałam na to znowu warstwę popiołu grubą a w niej znowu układałam jaja i tak ciągle aż do wierzchu a ostatnią warstwę zasypywałam znowu grubo popiołem. Tak wyłożoną paczkę stawiałam w piwnicy suchej na stole i nie ruszałam tych jaj aż do sierpnia. Wtedy zaczynałam brać te jaja do użytku a świeże układałam znowu w nową paczkę lub w kilka paczek — przeznaczając je już na zimę, kiedy to daje się tak bardzo brak i drożyzna jaj odczuwać. Jeżeli niema suchej, przewiewnej piwnicy — to lepiej ustawić paczkę z jajami na strychu byle w takiem miejscu aby na nią słońce nie świeciło. Kto niema swoich kur — to może kupować jaja w czasie najtańszym i przechować je w ten sposób na zimę — ale to już ryzykownie, — bo nie można wiedzieć czy jaja kupione są świeże lub nie.

Jaja tak przechowane — przetrzymywały się doskonale — były całkiem świeże — nie skłócone ani zatęchłe. Lecz do takiego przechowania powinny być jaja świeże, czyste — dlatego powinno się bardzo uważać aby gniazdo gdzie się kury niosą było czyste, a słoma lub siano z których gniazdo usłane ma być często zmieniane. Jaj do przecho-

wywania nie można myć bo — muszą być takie jak są wprost z gniazda — ale gdybyśmy chowały w popiół jaja oblepione gnojem i nieczystością — to popsułyby się napewne. Gdy kto ma dużo kur i dużo jaj w sierpniu na zimę przechowa, może wtedy i dla siebie mieć wygodę i sprzedać w czasie kiedy cena na nie jest najwyższą.

### O przechowaniu masła na zimę.

A także jeszcze powiem młodym gosposiom jak to się przechowuje majowe masło na zimę w doskonałym stanie. Maj, to dla gospodyń raj co do ilości i jakości nabiału, ale kto ma kilka krów dobrze się dojących — to i pracę ma około nabiału sporą. Masło do przechowania na zimę musi być koniecznie majowe — żółte związsłe – broń Boże tak zwane „zarobione", które wygląda biało jak zwarzona śmietana. Masło robi się codziennie gdzie jest kilka krów dajnych. Maślanka zużywa się dla czeladzi do kartofli a i trzodzie chlewnej dobrze jest dodawać do pomyj.

Za każdym razem gdy się masło zrobi — odkładać tyle ile potrzeba na dom a resztę — czysto wypłukaną i trochę osoloną składać w jaki czysty garnek gliniany — owiązać szmatką i chować w piwnicy. Gdy już się złoży takiego masła 4 litry – t. j. garniec — trzeba się wziąść do przygotowania jego na zimę. Przygotować sobie garncowy garnek gliniany — polewany — nie pęknięty — wyparzyć go wodą kipiącą nalaną na świeżą pokrywę — potem wymyć czysto i wysuszyć. — Masło wyłożyć do dużej miski albo dojnicy, nalać je zimną wodą i przerabiać je czystą umytą ręką dobrze aby wszystką maślankę jakoby tam jeszcze była doskonale wypłukać.

Wtedy odlać wodę — nalać drugą — przerobić masło — wodę odlać znowu – masło starannie z wody wycisnąć i robić w ten sposób: na garniec masła bierze się 4 czubate łyżki soli — jedną czubatą łyżkę saletry tłuczonej i jedną czubatą łyżkę cukru miałkiego. Wymieszać to wszystko dobrze razem — wsypać do masła — przerobić je dobrze ręką aby wszędzie ich z dodatkami dobrze wnikła i nakładać masło w garnek uciskając dobrze ręką aby masło szczelnie do garnka przystało. Napełniwszy garnek pod same kresy wygładzić je pokarbować łyżką i posypać jeszcze z wierzchu trochę solą. Zawiązać garnek starannie lnianą szmatką, na nią zawiązać jeszcze drugą a na wi rzch nasypać czystego — najlepiej rzecznego piasku tak grubo, żeby ten piasek wypełnił kwasy do równości. — Przyklepać piasek równo i wynieść garnek na strych — stawiając w czystem miejscu wolnem od słońca. Tak postępować ciągle — przechowując coraz nowy garnek masła póki tylko można — ustawiając je na strychu jeden przy drugim. Masło to — grubo piaskiem przysypane niech sobie stoi spokojnie.

Nie trzeba go ruszać aż w zimie gdy już będzie potrzebnem do użytku. Naturalnie że trzeba je strzedz od myszy, które dostawszy się do masła mogłyby wiele szkody zrobić, zresztą nic mu nie zaszkodzi choć w lecie — w czasie gorąca rozpuszcza się takie masło w garnku — nie trzeba go ani ruszać — ani przesuwać — ono pózniej na zimnie znowu stężeje a w zimie będzie dobre — żółte i smaczne jak niedawno zrobione. Warunek do dobrego i pewnego masła przechowania jest ten, że masło powinno być świeże wyborowego gatunku — z kwaśnej młodej śmietany — s o l o n e o d r a z u w g a r n c o w e j i l o ś c i nałożone napełno do garnka i zaopatrzone tak, jak wyżej opisałem. Masło potrochę dokładane i dosolane nigdy się dobrze nie przechowa i stanowczo się psuje. — Można nakładać i dwulitrowe garnuszki — ale zawsze trzeba aby garnek odrazu nałożyć do pełności. Saletra użyta do masła powinna być bardzo miałko utłuczona tak jak cukier.

### O przechowaniu sera.

Ser — jak wiadomo, o wiele łatwiej i prędzej psuje się od masła — to też wiele

zależy na tem aby tak postępować z nim, aby ochronić jaknajdłużej od zepsucia.

Widziałam w wielu domach jak gospodynie składają ser — ale doszłam do tego, że to nie jest dobrym taki sposób naprzykład: Ser ogrzany i lekko z serwatki odciśnięty soli się trochę składa się do fasek lub beczek — przyciska drążkiem lub dnem i kamieniem — i zalewa z wierzchu serwatką. Ser taki jest niemiłosiernie kwaśny — nie dobry i łatwo podlega zepsuciu. Gdzie jest łatwy zbyt — blizko miasta — to się jeszcze taki ser sprzeda prędzej — ale gdy ma stać dłużej, to bieda z tym i serowi i gospodyni.

Ja radzę gosposiom tak ser przechowywać. Mleko dobrze ogrzane — ale żeby nie było przegrzane (bo wtedy dobroć sera traci na tem) — odlać do worka — a gdy serwatka dobrze odcieknie — związać go w worku przyłożyć drążkiem i kamieniem. Gdy już dobrze odciśnięty — wyjąć z woreczka i schować na misce do piwnicy. Tym sposobem złożywszy przez tydzień dość sera — trżeba go zabezpieczyć przed psuciem. Garnek dobrze wyparzony pokrzywą i wysuszony trzeba sobie na ser przysposobić.

Ser połamać w kawałki i przepuścić przez maszynkę — którą teraz prawie wszyscy mają. Jestto maszynka do tarcia migdałów — bułki suchej i t. p. rzeczy. Ale gdyby nawet nie potrzebną była do migdałów — to przyda się ona stokrotnie tam — gdzie właśnie jest gospodarstwo mleczne i gdzie trzeba ser składać na dłuższy czas. Maszynka taka kosztuje 4 korony a teraz i mniej — a opłaci się w dziesięcioro — bo nikt ręką nie rozrobi tak sera jak tą maszynką — a im ser lepiej przerobiony, tem się dłużej i lepiej przechowa. Utrzeć więc ten ser na maszynce — posolić go — (na litr lekko nasypanego sera — kopiata łyżka soli).

Wyrobić dobrze ręką ser z solą i nakładać go potrochę do garnka i uciskając mocno ręką aby dobrze przyległ do boków garnka i aby nie było suchego miejsca w serze tylko żeby był dobrze ubity w garnku. Nażywszy ser do pełna ubić go jeszcze ręką z wierzchu — posolić na wierzchu dobrze — i zakryty drążkiem drewnianym dobrze osłaniającym garnek — garnek postawić do piwnicy. Ser można dokładać — więc jeżeli jednego tygodnia nie był pełny garnek to można go potem dołożyć. Dokładając jednak — zawsze trzeba lekką warstwę z wierzchu zebrać tak, aby ser był bielutki tak jak i ten którym się dokłada. Jeżeli ser składany w plaskankach przez tydzień — pożółknie a z wierzchu lub zaczyna gliwieć — to nim się go połamie do mielenia na maszynce — trzeba go starannie czystym nożem zebrać z wierzchu — a ser taki zebrany — złożyć w misce — potrzymać z dzień w ciepłej kuchni — a gdy zgliwieje posolić usmarzyć na maśle wylać na talerz i wynieść na zimno a będzie dobry do krajania na chleb z masłem.

Otóż ser tak przechowany trwa długo — nie psuje się nie traci smaku — jest apetytny — niekwaśny — a i muchy, które zawsze okropnie ser napastują nie rzucają się tak na niego — jak na dzieżkową zalewaną serwatką — gdyż tam ani sposób opędzić się muchom kłującym jajeczka — z których w krótkim czasie wylega się tysiące robaczków; one niszczą i zanieczyszczają nieraz całe faski sera. Widziałam raz u gospodyni dostatniej dość dużą beczkę sera kwaśnego. Gdy się ktoś do mnie zgłosił po kupno sera a ja wtedy nie miałam, odesłałam kupującego do tej właśnie gospodyni. Wrócił jednak z niczem, mówiąc, że u niej niema sera. Dowiedziałam się potem: że wszystek ser musiała świniom wyrzucić bo robactwo się rzuciło straszne i nie miała innej rady jak wyrzucić ser, którego było pewnie z pół korca. Mój ser był tak znany, że gdy się dowiedzieli kiedy ludzie, że mam ser do zbycia — to szli jak Bóg wie po co i rozkupili na poczekania ile tylko było — a gdy się trafiało w okolicy jakie wesele — to już

napewne przychodzili do mnie zamawiać ser na przyjęcie.

### Gomółki.

Dobre są gomółki z sera — które tak się przyrządza: Dwie kwarty przetartego maszynką sera postawić w cieple aby trochę przegliwiał — ale tylko trochę ma być zgliwiały wtedy posolić go do smaku dodać pół łyżeczki kminku — pół łyżeczki cukru miałkiego — dużą łyżkę masła stopionego i zrumienionego na brunatno (ale żeby nie przypalić). Wyrobić dobrze ręką i formować okrągłe gomółeczki, układać je na czystej małej stolniczce i pozostawić w śpiżarni, okryte z wierzchu starannie organtyną rzadką, przed muchami. Gdy postoją tak ze dwa dni, poobracać je na drugą stronę a gdy znowu tak postoją ze dwa dni lub trzy, są już „dojrzałe" to jest dobre do jedzenia. Takie gomółeczki lubią bardzo panowie do podwieczorku, herbaty, lub nawet do piwa Są one trochę ostre, ale bardzo dobre. Ładnie robi się także gomółki zamiast z kminem z miętą, której listki zerwane, przesuszone i rozdrobnione dodaje się do sera i postępuje tak samo jak z tamtemi. Ale t już zależy od tego, kto lubi miętę i jej zapach.

### Trochę o naczyniu mlecznem.

Tak jak wszędzie, tak i w mlecznem gospodarstwie, najważniejszą rzeczą jest czystość. A w mlecznem gospodarstwie ta czystość jest warunkiem powodzenia, bo najmniejsze jej zaniedbanie, trzeba potem zapłacić jakąś stratą. Garnki na mleko, czy to są tak zwane w naszych stronach „siwaki", to jest czarne, niepolerowane, czy też czerwono polerowane, każdy garnek powinien być czysty, wyparzony, aby niczem nie pachł, tylko czystością. To też po każdem ogrzaniu i odlaniu sera, garnki popłukać i umyć, nałożyć w nie do połowy pokrzywy zielonej i nalewać je kipiącą wodą do pełna, nakrywając jeden garnek drugim, a ostatni pokrywą. Takie garnki, wymyte potem, wywiesza się na płot, albo na słup umyślnie na garnki z kołkami urządzony, a gdy się zdejmuje z kołka lub płota do cedzenia mleka, zawsze go trzeba zimną wodą popłukać. Skopki jeśli drewniane, parzyć i szorować często, a po każdem dojeniu, bezwarunkowo musi być skopek umyty gorącą wodą i popłukany zimną, nim się wyniesie go na dwór, na półkę, lub na płot. Cedzidło jest też bardzo ważną rzeczą, aby było czyste. Jeżeli jest robione z lnianego płótna rzadkiego, to trzeba je dobrze pilnować aby było czyste, nie zakwaszone. U porządnej gospodyni, cedzidło jest aż do zdarcia czyste i miękkie, a gdzie się niestarannie z niemi obchodzą, to będzie napewno w środku trochę jaśniejsze a dookoła ciemne od ile płókanego mleka i stwardniałe. Najlepiej, cedzidło po paru razach mycia tylko przepłukanego, naprzykład co dwa dni, wyprać jak należy z mydłem, a potem wygotować w sodzie, wypłukać i znowu używać dwa dni. Mieć trzeba zawsze drugie w zapasie, bo czasem zrobi się dziurka i wtedy kłopot, czem cedzić, a do mleka musi być osobno przysposobione cedzidło i niemożna czembądź cedzić. Przed dojeniem, trzeba krowom koniecznie dojki umyć, dlatego dojarka idąc do stajni, powinna iść z wodą w skopku jednym — a drugi mieć do dojenia. Woda powinna być wystała zimna w lecie, a trochę letnia w zimie. Po umyciu wyciera się dojki dokładnie miękką ścierką lnianą, która powinna być zawsze w stajni powieszona na jakim drążku (wysoko aby krowa lub cielę nie zjadły).

W piwnicy, gdzie mleko stoi — czy to na stole — czy na ławkach — nie powinno być nigdy mleko po tych sprzętach porozlewane — bo ono kisnąć — zaraża powietrze, a to powietrze psuje smak mleka.

Po każdej robocie w piwnicy – powinno się rozlane mleko pościerać z ławek i stołu – na co powinna być stale ścierka w piwnicy na jakim gwoździu powieszona. Co tygodnia stoły i ławki poszorować a ścierką do

ścierania przeprać, wysuszyć aby znowu na tydzień była czysta.

Maślnice toż samo po dwu robieniach masła powinny być parzone w ten sposób, że się do umytej gorącą wodą maślnicy — wkłada prędko szczypcami rozgrzany do czerwoności kamień — nalewa się nań kipiącej wody z sodą i nakrywa maślnicę jedną pokrywą. — Potem się ją ładnie szoruje szczotką a na zewnątrz piaskiem rzecznym aby była żółta i jasna. Nieraz można widzieć u porządnych gospodyń śliczne naczynie starannie utrzymywane. A gdzie maślnica i szkopek czarne – ledwie opłukane — gdzie cedzitko bure z jasną plamą w środku — tam pewnie mleko niesmaczne — ser łatwo się psujący — a masło „czegoś zawsze się zarobi“ — co się nie przypisuje sobie i własnemu niedbalstwu – ale składa się winę na sąsiadki mające „złe oczy“ lub na czarownice odbierające nabiał i robiące drugim na szkodę. A ja powiadam, że najlepszą czarownicą jest sama gospodyni. Gdy się dobrze uwinie i przypilnuje, albo i sama zrobi co trzeba — wtedy tak poczaruje — że i spiżarnia i piwnica pełna wszystkiego — gdy jednak nie dba i nie stara się — to takie czary ją przysiądą – że rady sobie nie da i gospodarstwo musi zmarnieć.

*Janina Szęgdzińska.*

**Dziesięcioro przykazań dla pszczelarzy początkujących.** I. Rozpoczynaj hodowlę pszczół z nie więcej jak dwoma lub trzema pniami, II. Nabywaj tylko silne pnie (w kwietniu), chociażby ich cena była wysoka. III. Nie rób zbyt wiele doświadczeń z twojemi pniami i nie niepokój pszczół bez konieczności, lecz poprzestawaj na zabiegach ściśle celowych. Ani razu nie otwieraj ula bez rzeczywistej potrzeby. IV. Obrządzaj pszczoły z całą delikatnością i zachowaniem spokoju, a one ci się odwdzięczą potulnością. V. Nie podkurzaj zbytecznie pszczół, lecz poprzestawaj raczej na kilku kłębach dymu, gdyż jego nadmiar drażni pszczoły. VI. Nie odkładaj nigdy do jutra tego zabiegu, który powinien być wykonany dziś. VII. Utrzymuj w pasiece tylko silne pnie, a pozbywaj się wszelkiej słabizny. VIII. Pomnażaj swoją pasiekę tylko z pni wyborowych, postępując z wielką przezornością i staraj się o to, abyś tak poznał swoje roje, jak zna pasterz swoje owce. IX. Zastosuj swą gospodarkę pasieczną do pożytków, jakich dostarcza pszczołom okolica i staraj się o należyte zapoznanie się z nią, w tym względzie. X. Utrzymuj pszczoły w ulach już wypróbowanych i takich, które dla danej miejscowości okazują się odpowiedniemi. Wybranemu wzorowi pozostaj wiernym i unikaj różnorodności wymiarów.

**Na miesiąc czerwiec.** Jeżeli ugory były już w jesieni podorane, to teraz wziąć się trzeba do ich przeorania, a jeśli można, to do zradlenia w poprzek. Następnie podorać ugory czyste, których w poprzednim miesiącu nie dokończono. Role pod rzepak zimowy wcześniej podorane, gdy już się odleżą i zazielenieją, teraz trzeba przeorać z nawozem i zabronować. Jeżeli ugory pod ozimine są bardzo zachwaszczone, to trzeba te najpierw podorać płytko, a następnie dopiero, wywiózłszy nawóz zaorać. Nowiny a szczególniej mocno zadarnione, najlepiej jest naprzód pokrajać wzdłuż silnym krojem osadzonym w grządzieli od pługa, a potem dopiero przeorać w poprzek.

Łąki kosić należy wtenczas kiedy kwitną, A że z różnych traw rosnących na łąkach, jedne zakwitają wcześniej, a inne później, więc trzeba uważać, kiedy „najwięcej“ traw kwitnie na łące, i wtenczas brać się do kośby. Wielu gospodarzy myśli, że jeśli skosić trawy wcześniej, to siana będzie mniej; a kiedy się czeka, aż się wystoją, to więcej się sprzątnie. Jużciż jest w tem prawda. Ale trawy stare, kiedy już okwitną i potrosze żółknąć zaczynają, to tracą swoją pożywność, drewnieją i prawie tyle są warte, co słoma; — a jeśli skoszone w kwieciu, to chociaż siana z nich jest trocha mniej, ale zato fura takiego siana znaczy tyle, co dwie fury siana z traw przestałych. Sprzątając siano ba-

czyć trzeba, aby przy przetrząsaniu nie okruszać dużo drobnych listków i źdźbeł, bo w nich jest najwięcej pożywności.

Koniczynę na siano kosi się wtenczas gdy zaczyna kwitnąć, bo wtedy najbardziej jest pożywna, a przy sprzęcie i trzęsieniu nie tak się okrusza. Najlepiej suszyć koniczynę w taki sposób: Na drugi a najpóźniej na trzeci dzień po skoszeniu, kiedy już owiędnie, ale jeszcze nie jest wcale krucha, zbiera się z pokosów i ustawia na małe kuczki, tak jak grykę czyli tatarkę, zakręcając przy wierzchołku. Kiedy już kuczki takie dobrze przeschną z wierzchu, to w dobrą pogodę przewraca się je. Wtedy już tego samego dnia pod wieczorem koniczyna wysycha tak, że można zwozić ją do stodoły lub do brogu. Jeśli zaś nie można zdążyć zwieść jej tego samego dnia, to na noc składa się ją w duże kopy, aby deszcz nie zmoczył. Składając koniczynę do stodół albo na poddasza, dobre jest przyścielać ją cienkiemi warstwami czystej słomy, żeby się przypadkiem nie zagrzała.

Koniczynę na nasienie trzeba zostawić w tem miejscu, gdzie najczystsza i niezbyt gęsta, żeby nie wyległa. Niedobrze jest zbierać nasienie z drugiego pokosu koniczyny, bo wtenczas ziarenka „kanianki“, które później dojrzewa, a będąc zielskiem żyjącem na koniczynie, bardzo ją wyniszcza.

O burakach, marchwi i końskim zębie pamiętać też należy w tym miesiącu, aby często je opielać i nie dać zarosnąć zielskiem, Nie trzeba też zapominać o kartoflach, aby je radełkami albo motyką obsypywać, skoro tylko chwasty pokazują się między niemi.

Mycie i strzyżenie owiec najpóźniej w pierwszych dniach czerwca odbywać się powinno; pilnować przytem trzeba, aby owiec nie zaziębić. A po wymyciu, jeśli do podwórza lub na pastwisko daleko i kurz na drodze, to lepiej owce przewozić w skrzyniach od kartofli czysto wymytych i przykrytych płótnem albo wańtuchami, żeby się wełna na owcach nie zakurzyła. Przy strzyży odbierać osobno odpadki wełny z nóg i zpod brzucha, aby nie mieszać jej z wełną celną, która powinna być starannie w runa zwinięta!

**Pożytek cytryn!** Znane są rozmaite pożyteczne właściwości tych południowych owoców, i nieraz też już o tym lub owym zastosowaniu cytryny mówiliśmy w „Przewodniku Zdrowia“. Ale ponieważ w obecnej porze spozimkowej częściej znów korzystać z cytryn nadarza się sposobność, i zarazem ponieważ owoce te są obecnie coraz tańsze (podobnież jak pomarańcze), więc podajemy krótkie zestawienie rozlicznych pożytków z cytryny w gospodarstwie domowym.

1) Nieżyty (katary) i przeziębienia przewodów oddechowych leczy szybko gorąca, miodem osłodzona limoniada cytrynowa.

2) Silne napady kaszlu często znikają już po spożyciu grupki cukru, na którą wycisnęło się sok ćwiartki cytryny.

3) Czarna kawa z cytryną jest dobrym środkiem napotnym.

4) Przeciw gośccom i reumatyzmom służy znakomicie kuracja cytrynowa. Oprócz spożywania soku na chłodno można też stosować kuracyą gorącą. Gotuje się 2 oskrobane i pokrajane w plasterki cytryny w $^1/_2$ l. wody, póki dwie trzecie nie wyparują, osładza wywar i pija przed pójściem na spoczynek. Po 2 dniach gotuje się 3 cytryny i pija taki wywar z rzędu przez 3 dni, itd. aż do 6 lub więcej owoców, póki nie pojawi się pożądany skutek.

5) Osobom nerwowym służy bardzo dobrze kąpiel z dodaniem cytryn. Ku temu kraje się 5 — 6 owoców (razem z skórkami) w plastry, moczy przez kilka godzin w zimnej wodzie i dodaje wyciąg do wody kąpielowej. Zresztą można tylko same wytłoki cytryn dodać do gorącej wody kąpielowej.

6) Przy zimnicy i na pragnienie dobrze działa zimna limonada.

7) Ból zębów znika często po kilkakrotnych płukankach ciepłą wodą cytrynową.

8) Nagłe, silne bole głowy znikają po wypiciu szklanki wody selcerskiej ze sokiem połówki cytryny.

9) W razie pojawienia się szkarlatyny u dzieci jest sok cytrynowy znakomitym środkiem pomocniczym. Używa się go w następujący sposób: Sok z dwuch cytryn oraz sok z dwuch główeczek utłuc w moździerzu, przecisnąć przez rzadkie i czyste płótno i zmieszać oba soki razem. Umoczywszy pędzelek w tym płynie wypędzlować trzy razy dziennie gardziołek dziecku. Pędzelek powinien być na długim drążku; w ostateczności można maczać cienką lnianą łatkę (z czystego płótna), przymocowaną na drewnianym prątku, i wycierać gardło. —

I wyciśnięte cytryny jeszcze są pożyteczne w gospodarstwie. Albowiem

10) Wyciśniętemi i oskrobanemi cytrynami nacierając twarz i szyję przed spaniem usuwa się wypryski różne; podobnież znak otarcia szyji kołmierzykiem znika po stosowaniu cytryn.

11) Wyciśnięte cytryny można (wraz z skórką) wkładać do naczynia z wodą do mycia; cytryna nadaje wodzie świeżości i miękkości.

Ze względu na wyliczone wielorakie korzyści cytryn powinien tedy w każdym gospodarstwie znajdować się odpowiedni zapas tych owoców. Najlepsze są świeże owoce. Atoli przy jednorazowym większym zakupnie można wyciśnięty sok zachować w butelkach przez pasteryzowanie (czytaj w książeczce „Czym zastąpić napoje alkoholowe?" rozdz. II). Wytłoki zaś lub tylko skórki cytrynowe można przechować przez zasuszenie albo zalanie spirytusem lub mocnym winem (Sherry). —

Przedewszystkiem zwracamy uwagę na to, aby nasze gosposie używały także w domowym gospodarstwie więcej soku cytrynowego zamiast zwykłego octu. W razie braku cytryn można używać innych kwasów owocowych, jak to wykazujemy w naszej rozprawie: „Sok cytrynowy i kwasy roślinne, ich zalety a szkodliwość octu."

**Hodowla kalafiorów na gruntach nieurodzajnych.** Kalafiory są jarzyną bardzo smaczną i zdrową, skutkiem tego bardzo poszukiwaną, ponieważ zaś wymagają, do dobrego wzrostu i wytworzenia ładnych główek, czyli t. zw. róż, bardzo urodzajnej ziemi, mianowicie, tłustego czarnoziemu, przeto na gruntach piaszczystych lub torfiastych, zimnych, bez odpowiedniego przygotowania ziemi nie można ich uprawiać z powodzeniem. Gospodarując w ciągu kikunastu lat na takich właśnie gruntach, próbowałem różnych sposobów doprawienia ziemi. Te, które doprowadziły do wyników najlepszych, poniżej opisuję.

W celu otrzymania kalafiorów wczesnych z gruntu wysiewałem nasiona erfuckich gruntowych w inspekcie chłodnym w końcu lutego lub początkach marca; po wzejściu nasion, gdy roślinka oprócz liścieni utworzy pierwsze listki, rozsadzam je rzadziej, skutkiem tego rozsada osiąga dobry system korzeniowy, pozatem rozsada, rzadko rozmieszczna (w odstępach dwucalowych w obu kierunkach) oraz dobrze przewietrzana jest w stanie rozwinąć się w okazy nizkie grube, silne. Grunt piaszczysty pod kalafiory już w jesieni przygotowałem, t. j. nawiozłem obornikiem przegniłym, którym przyorywam na głębokość 6-ciu cali i grunt pozostawiam w ostrej skibie, t. j. niebronowany. W początkach kwietnia grunt ten orzę i bronuję w końcu zaś kwietnia, mając już silną i zahartowaną rozsadę, robię przy sznurze w odstępach łokciowe linie, na liniach tych w trzyćwierciowych odstępach, kopię dołki objętości około garncowej i te napełniam przygotowaną mieszaniną, złożoną z jednej części skruszałej, czyli zlasowanej, gliny, jednej części nawozu przegniłego i jednej części ziemi torfowej, kompostu lub też zwyczajnej próchnicy ogrodowej. W te dopiero zaprawę zagłębienia sadzę rozsadę kalafiorów. Gdy zaś rozsada podrośnie o tyle, ze już wymaga

wzruszenia ziemi i obsypania, rozsypuję wokoło każdej roślinki łyżkę saletry chilijskiej, nakrywam cienką warstwą ziemi i potem dopiero obsypuję. Przy drugiem zaś obsypywaniu, które bywa ostatniem, daję dawkę drugą saletry, cokolwie większą od pierwszej i to już wystarcza. Rozumie się, iż kalafiory, jeżeli zachodzi potrzeba, bywają obficie polewane i starannie pielone. Jestto hodowla nietylko dość mozolna lecz wymagająca pewnych kosztów, głównie zwiększonej siły roboczej; wyniki jednak nie ustępują hodowli na gruntach najodpowiedniejszych.

Na gruncie torfiastym lub sapowatym różnica w doprawianiu tegoż pod kalafiory jest tylko ta, że zamiast obornika daję nawóz stajenny, do mieszaniny zaś do zaprawienia dołków daję pewną ilość pomiotu drobiu lub odchodów ludzkich.

Próby hodowli różnych odmian kalafiorów algierskich Lenormana, duńskich i innych, nigdy nie dawały mi wyników dodatnich, jedynie na wczesne i późne — jesienne, dopisywały erfuckie; do hodowli w porze zimowej wpiwnicy — włoskie czyli frankfurckie Z wczesnego wysiewu nasion kalafiorów erfurckich zbiory osiągamy już w czerwcu, ponieważ koniec czerwca i lipiec odznacza się u nas zwykle prawie największą cipełotą, wobec tego zbiór kalafiorów z wczesnego wysiewu kończy się zwykle w lipcu, aby zaś nie było przerwy w zbiorze kalafiorów w ciągu całego lata, należy siać je parokrotnie i te w pewnych odstępach czasu sadzić. Najpóźniejszy wysiew może być dokonany w drugiej połowie czerwca, plony zbierają się w drugiej połowie września i w pierwszej października, na zbiory póniejsze już mogą służyć, wcześnie wysiane, kalafiory frankfurckie.

Późniejszy siew kalafiorów erfurckich lub frankfurckich już nie wykonywa się w inspekcie pod oknami, lecz na miejscu odkrytem, swoją drogą w każdym czasie hodowla rozsady koniecznie musi być stosowana na gruncie dobrze zasobnym w części pożywne przytem, aby rozsada była silna, musi być hodowana nie gęsto, ma to jeszcze tę dobrą stronę, iż zapobiega rozwojowi grzybka, który wywołuje chorobę u rozsady roślin krzyżowych, zwaną „czarną nóżką“.

Zwykle przy sadzeniu rozsad kapuścianych korzenie dla łatwiejszego przyjęcia się bywają maczane w papce z gliny i krewieńca. Ten zabieg ma znaczenie najgłówniejsze przy sadzeniu póżnem, gdy ziemia już jest doskonale ogrzana, przytem ciepłota zewnętrzna jest wysoka, wówczas papka ułatwia przyjęcie i poniekąd stanowi najpierwszy posiłek dla roślin posadzonych, lecz przy sadzeniu wczenem, gdy ziemia nie posiada dostatecznej ciepłoty środek ten często zgubnie oddziaływa, bowiem korzonki zasklepione ulegają zepsuciu, a zatem radzimy w tym razie papki nie używać.

**Nawóz sztuczny pod owies.** Z powodu suchego lata w roku zeszłym za mało miałem po żniwach na polu paszy dla bydła. Po sprzęcie więc jęczmienia zasiałem na płytkiej orce wykę na zieloną paszę dla krów.

Po spaszeniu tej wyki zaorałem przed mrozami wyczysko tak głęboko, jak się orze pod siew. Teraz, na wiosnę, mam siać owies i chciałbym zasilić ziemię nawozem sztucznym. Proszę o radę, jaki nawóz dać, kiedy i w jaki sposób.

---

Bardzo dobrze się stało, że po jęczmieniu siana była wyka jako poplon. Stosowanie międzyplonów po roślinach kłosowych oddziaływa bardzo dobrze na przyszły urodzaj owsa.

Przed siewem owsa, przed pierwszem bronowaniem, można dać na mórg 300-prętowy 2 centnary żużli Tomasa czyli tak zwanej tomasówki. Żużle dodadzą potrzebnego do rozwoju ziarna kwasu fosforowego.

Ponieważ owies wyczerpuje z ziemi najwięcej azotu, więc bardzo dobrze będzie zasilać go, ale już po zasiewie, gdy wzejdzie, saletrą chilijską. Rozsypać ją trzeba po wierzchu dwa razy: pierwszy raz półtora na mórg

300-prętowy, potem, gdy owies podrośnie, znów półtora centnara

**Jaki pożytek mamy z jaskółek**. Każdemu gospodarzowi wiadomo, jak nieznośną plagą dla żywiny są muchy w porze letniej. Bydło i konie nie mają w stajniach ani chwili spoczynku, gdyż przez cały dzień są napastowane przez te owady i muszą ciągle opędzać się od nich. Aby uwolnić od nich stajnie i obory, zalecane są rozmaite sposoby, jak naprzykład: zaciemnianie stajeń, urządzanie w nich większego przewiewu powietrza, bielenie ścian wapnem z dodatkiem ałunu i t. p. Sposoby te są dobre, ale nie zabijają much; wypędzone w części ze stajni, przenoszą się one do domów mieszkalnych i dokuczają ludziom, a co gorsza roznoszą choroby zaraźliwe z jednych ludzi na drugich i zanieczyszczają sobą i zarazkami wszelkie jadło. Jeden gospodarz, Niemiec, opisał w niemieckiej gazecie rolniczej w jaki sposób doszedł do tego, że prawie zupełnie pozbył się much u siebie.

Pisze on tak:

W mojem podwórzu gospodarskiem jest długa stajnia, która napełniona jest znaczną liczbą bydła, a w ogrodzie znajduje się staw i rowy z wodą; mimo to much i komarów prawie u mnie niema. Cała tajemnica polega na tem, że postarałem się, aby osiedliło się w mojej zagrodzie dużo jaskółek. W tym celu wszędzie, gdzie się tylko dało, pozakładałem deszczułki odpowiednio wycięte; umieściłem je na wystającej u góry listwie budynku od strony południowej, a także wewnątrz stajni i w różnych innych miejscach. Takie deszczułki służą jaskółkom za podstawę przy budowie gniazd. Na przedniej ścianie stajni poprzybijałem też w tym celu łaty drewniane. Jaskółki chętnie skorzystały z mojej pomocy i ulepiły tak dużo gniazd, że na ścianie zewnętrznej naliczyłem ich przeszło sto, a w środku stajni około 50. W tych 150-ciu gniazdach mam około trzysta starych jaskółek, a że każda para wysiaduje dwa razy po troje lub pięcioro pisklął, więc wszystkich tych pożytecznych ptasząt mam na swoim folwarku co najmniej tysiąc i 200. Jaskółki są nieustannie w ruchu, uganiają się za muchami i komarami, które stanowią ich pożywienie. Nic przeto dziwnego, że u mnie much ani komarów prawie niema, a raczej dziwić się trzeba, jak ta liczna gromada jaskółek może się wyżywić. Radzę szczerze rolnikom pójść za moim przykładem, bo w ten sposób bez kłopotu i kosztu uwolnią się od tych dręczycieli naszych zwierząt domowyah i nieznośnych gości naszych mieszkań.

# ROZMAITOŚCI.

**Z Poznania.** Zaciekły wróg Polaków, profesor uniwersytetu berlińskiego w Berlinie, Bernhard, wygłosił w tych dniach ciekawy odczyt na zgromadzeniu hakatystów czyli członków stowarzyszenia, mającego na celu tępienie polskości. Powiedział, że aby zniszczyć naród polski, Niemcy powinni przedewszystkiem starać się rozbijać jedność narodową Polaków, roszczepiać ich na partye i stany, jątrzyć i szczuć jednych przeciwko drugim, aby pomiędzy sobą się kłócili i jak najczęściej zapominali o prawdziwem swojem położeniu Rządowi pruskiemu — mówi Bernhard — udało się gdzieniegdzie zaszczepić wśród włościan polskich nienawiść do szlachty polskiej i mieszczan. Zdołano też przy pomocy różnych działaczy z pośród samych Polaków wzbudzić w robotnikach polskich niechęć do duchowieństwa i osłabić w nich wiarę.

Bernhard nawoływał hakatystów, aby w dalszym ciągu popierali taką robotę wśród narodu polskiego, i nie żałowali pieniędzy na opłacanie ludzi, którzy w tej robocie pomagają. Wzywał też działaczy niemieckich, że-

by zwalczali spółki i kółka rolnicze, których kikaset istnieje wśród ludności polskiej w Poznańskiem. Tak oto wrogowie narodu polskiego zdradzili się sami, jakich sposobów używają do zwalczania polskości. Wiemy też teraz, komu to na pożytek pracują niektórzy działacze nasi, siejący pośród narodu naszego niezgodę i niechęć jednych do drugich.

**Z Galicyi.** We wsi Sidzinie pod Jordanowem spaliło się kilkanaście zagród włościańskich, oraz kościół, plebania i szkoła. Pożar powstał w kuchni na plebanii, a ponieważ był silny wiatr, więc ogień szybko przeniósł się na poblizkie budynki.

— *D. 3.* jako w rocznicą konstytucyi, odbyły się uroczyste nabożeństwa i obchody w wielu miastach w Galicji.

W Krakowie po sumie we wspaniałym kościele Maryackim, odbył się wielki pochód na Wawel, gdzie jest kościół katedralny z grobami królów polskich i dawny zamek królewski. We Lwowie nabożeństwo uroczyste w kościele katedralnym odprawił ksiądz biskup Władysław Bandurski. Na nabożeństwie znajdowali się w presbiterjum marszałek Galicyi burmistrz miasta Lwowa, członkowie rady miejskiej, posłowie do sejmu galicyjskiego i wielu innych dostojników. Po nabożeństwie odbył się do pomnika Mickiewicza pochód, w którym między innemi uczestniczyły dwie kapele włościańskie, wielu mieszkańców ze wsi okolicznych i uczniowie wszystkich szkól lwowskich.

**Jak Japończycy hodują małe drzewa.** Japończycy mają szczególniejsze zamiłowanie do ogrodnictwa, kochają drzewa i kwiaty. Każdy musi mieć swój ogródek, chyba zupełnie biedny obywa się bez niego. W miastach wszakże nie może być mowy o dużych ogrodach, jak na wsi, bo miejsca jest skąpo. Japończycy nie chcąc się i w mieście wyrzec ogrodu, a mając mało miejsca na jego założenie, urządzają sobie ogródki z karłowatych drzewek. Są tam sosny, klony, wiązy, śliwy, -- ale jakie! Oto sosna dorosła, z pniem pokrytym korą, mało co większa niż łokieć; oto wiąz krzewiasty i stary, wysoki na stopę! I cały ogródek jesto bsadzony takiemi krzaczkami i drzewami karłowatemi. Do tych drzew zastosowano malutkie ścieżynki, a nieraz nie brak tam i malutkiej sadzawki ze ślicznemi drobnemi rybkami i strumyczka z mostkiem, i grotki ze skał. A wszystko utrzymane czyściutko jak cacko, jak pieścidełko. W takim ogródku nie można naturalnie odpocząć sobie w cieniu drzew, służy on nie dla wygody, a dla zabawy, dla przyjemności zajęcia się nim, i na to, żeby było ładnie. Karłowate te drzewka hodują Japończycy w szczególny sposób. Naprzód sadzą nasienie w doniczce, w ziemi niebardzo żyznej i niewiele je podlewają, potem obcinają roślince pęd wierzchołkowy, aby nie szła w górę, wreszcie, w miarę, jak rośnie, obcinają to te, to owe pąki boczne, wyrośnięte zaś gałązki naginają i przeplatają tak, aby przybrały pewien kształt dowolny. Każde takie drzewko przesadzają po kilka razy do coraz to większych doniczek i przecinają wówczas korzenie. Drzewka te udają się tylko w ogrodach lub na balkonach, a giną skoro będziemy je trzymali w pokoju.

**Bojkot sklepów polskich.** „Dziennik Poznański" pisze: W niektórych polskich lokalach publicznych w Poznaniu zabroniono pobytu wojsku. Wystosowane do odnośnej władzy miejscowej podanie o zniesienie zakazu nie odniosło skutku.

**Chrzty pruskie.** Poznańskie pisma donoszą, że przeinaczanie polskich nazw miejscowości nie ustaje, przeciwnie z energią godną lepszej sprawy, odwiecznym polskim nazwom narzuca się niemieckie. I tak obwód dominialny Wiewiórczyn w powiecie żnińskim, zamieniono na gminę z nazwą „Weldin" a obwód dominialny Niemczynek w powiecie wągrowieckim połączono z Warkowem w jedną gminę i przechrzczono obydwie miejscowości na „Hohenstein".

**Śpiączka.** „Kuryer Poznański" donosi z Piły w Poznańskiem: Śpiączka afrykańska

opadła pewnego tutejszego robotnika. Gospodarzowi domu, u którego ów robotnik mieszka, podpadło pewnego dnia, że lokator jego wcale się nie ukazuje, a ponieważ drzwi do izby jego były zamknięte, więc gospodarz wszedł do wnętrza oknem i zastał go pogrążonego w głębokim śnie. Wszelkie zabiegi o przebudzenie śpiącego spełzły na niczem. Wobec tego przywołał gospodarz lekarza, aby młodzieńca. który od dwóch dni już nic nie jadł, utrzymać sztucznie przy życiu.

**119 lat.** W Sosnowcu nad kopalniami węgla, w gubernii piotrkowskiej, zmarła w tych dniach żydówka Chana Podolska, która przeżyła 119 lat. Mąż jej 60 lat temu wyjechał do Ameryki. Ponieważ Chana przed 10-ciu laty miała jeszcze o nim wiadomość, że żyje i mieszka w San Francisku, więc pokazuje się, że i mąż jej żył przeszło 112 lat.

**„Przewodnik zdrowia“** Nr. 3 (na Marzec Czarnowski, Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera: Pościć — ale jak i poco? — Pożytek cytryn. — Samopomoc przy zająkaniu — Łacina czy gotyk? — Jaki alfabet najbardziej odpowiada hygienie? Zdrowotne wskazówki na marzec i kwiecień. — O szkodliwości palenia tytoniu. (Odezwa do młodzieży). — Przestrogi i rady. — Rozmaitości.

## Wesoły kącik.

### Sąd przy wódce.

Urząd wiejski siadł za ławą,
Będą sądzić, będzie prawo.
Wójt ogłosił wyrok krótki:
„Biłeś Bartku — każ dać wódki“.

„Maciek zaczął, choć był zbity,
„Niech da kwartę okowity,
„A świadkowie bez wymówki,
„Dadzą garniec anyżówki“.

Koniec sprawy wójt obwołał,
Sam pić zaczął i częstował.
A gdy wszystko wypróżnili,
Oskarżeni wójta zbili.

Wódka silna razem z ławą,
Wyrzuciła oknem prawo.
Strzeźcie się nasi wójtowie,
Gdy sądzicie mieć szmer w głowie.

Wódka sprawy nie złagodzi,
Bo niezgoda wraz z nią chodzi.

### Przy obiedzie.

— Jak pan znajdujesz tę butelczynę? — zapytał gospodarz dowcipnego gościa.

— Bardzo małą na swój wiek.

---

Słowikowski zjechawszy się na bardzo złej i ciasnej drodze z szlachcicem, zawoła: „wara, wara, bo ci tak uczynię, jako wczoraj drugiemu“. Bojąc się konfuzyi od figlarza, ustąpił szlachcic i zapytał: „cóż byś mi uczynił, gdybym ci się był nie ustąpił?“ — „Tobym ja się tobie był ustąpił, jako wczoraj temu“ odpowiedział Słowikowski.

---

Dąbski wymalowawszy obraz świętej Anny samotrzeciej do kościoła, napisał u dołu te słowa:

Proś matko córkę, a córka zaś syna,
By się do nieba dostała dębina.

Ktoś złośliwy dopisał:

Nie palą w niebie, nic tam po dębinie,
Tam drzew pełna izba, gdzie ogień nie ginie.

Stanisław August, spostrzegłszy na pokojach zamkowych nieznanego sobie szlachcica stojącego na uboczu i bojaźliwie spoglądającego w koło, chciał go ośmielić swoją uprzejmością; zbliża się więc do niego i zapytuje jakby z niechcenia: „Czy nie widział Waszmość starosty Morskiego?“.

Pomieszany pytaniem króla szlachcic, nie znając ani słysząc o dygnitarzu tego nazwiska, odpowiada drżącym głosem: „Najjaśniejszy Panie! w moich podróżach widziałem już psa morskiego i świnię morską, ale starosty morskiego jeszcze nigdy widzieć mi się nie zdarzyło“.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka. — Druk A. Rippera w Krakowie.

# DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY
## DO NR. 5 „PRZODOWNICY“.


## BABKA.

Opowiadanie.

Babka moja, była zamożną mieszczką, ale majątek zawdzięczała głównie swemu własnemu praktycznemu rozumowi, wytrwałości i nieustannej, a gorliwej pracy. Po niespodzianej śmierci dziadka naszego, który ją osierocił młodą wdową, obarczoną dziećmi, nie opuściła rąk bezradnie, ale dalej prowadziła po nim dużą garbarnię, którą posiadał w mieście. Piękna do starości, silna, wysoka, o wielkich czarnych oczach, zarządzała całym domem, dziećmi, czeladzią i pracownią. Sama umawiała się z dostawcami i odbiorcami, sama obierała skóry, próbując ich miękkości i wytrwałości, a sumienność w wykonywaniu obstalunków i uiszczanie się w słowie jednały powszechne zaufanie. Pamiętam to czynne, pracowite życie, bez odpoczynku i bez wytchnienia, wprowadzające w podziw rodzinę, krewnych i sąsiadów.

Bez względu na niepogody i słoty, bez względu na posuwającą się starość, zawsze na nogach, zawsze w zajęciu.

Co prawda nie chorowała nigdy. Wstawała od nas wszystkich najraniej, a pierwszy jej krok był zawsze do poblizkiego kościoła, a potem do pracowni.

Dnia jednego, a była już wówczas osiemdziesięcioletnią staruszką (choć zawsze piękna i prosta i nikt jej tyle nie dawał), przywołać kazała do siebie wczesnym rankiem starą naszą piastunkę i ozwała się do niej w te słowa:

— Miałam sen. Trzeci to raz w mojem życiu zdarza mi się sen taki... Pierwszy raz — było to przed śmiercią nieboszczyka mego męża... drugi raz, kiedy biedną naszą Agniesię, żonę najstarszego mego syna, miał Bóg powołać do chwały swojej, a tej nocy, powtórzył się po raz trzeci... Oto niby siedzę tu, w tym pokoju i na coś czekam... drzwi mają się lada chwila otworzyć i ja się mam dowiedzieć o czemś bardzo ważnem...

W tem — powoli — bardzo powoli — otwierają się drzwi same z siebie, a za niemi widać jakiś mrok nieprzejrzany... I z tego mroku wychodzi mój mąż nieboszczyk... A ja niby wiem dobrze, że on już dawno umarł, i wiem także poco przychodzi... Pytam się jego: ty przyszedłeś po mnie?... A on skinął mi na to głową... A na oknie siedział nasz czarny kot... Pamiętasz tego czarnego Murka, co to jeszcze dawno przed śmiercią nieboszczyka gdzieś zginął. I on był także, chciałam go pogłaskać, on najeża włos, wygina grzbiet w kabłąk, a oczy swiecą mu się jak rozżarzone węgle... I rośnie... rośnie... coraz większy... Wtem się obudziłam... No — proroczy to sen... prawda?...

Piastunka milczała, spuściła wzrok ku ziemi i łzy powoli spływały po jej twarzy.

Babka westchęła.

— No, tak być musi... Nie masz czego płakać. Na co się to zdało?... Dość już żyłam, pracowałam jak mogłam i umiałam — teraz czas na spoczynek...

Od tego dnia poczęła babka czynić przygotowania. Sporządziła testament i porobiła legaty na kościół, na ubogich, domowników i t. p., a za życia swego jeszcze postanowiła kazać ulać dzwon, tak wielki, jakiby tylko wieża kościelna pomieścić mogła.

— Aby spiżowe jego serce, tam, przed

tronem Przedwiecznego, przypomniało mnie niegodną grzesznicę — powiedziała.

Ostatniem, najgorętszem życzeniem babki było, aby pierwszy głos dzwonu usłyszeć mogła.

Kiedy dzwon wieziono ulicą do kościoła, babka leżała już na śmiertelnem łożu.

— Ach! czyż dożyję jeszcze, bym się mogła dowiedzieć, zali Bóg Najmiłosierniejszy przyjmie tę moją grzeszną ofiarę!...

Przez całą noc stawiano rusztowanie, zaciągano sznury.

Nad ranem było wszystko gotowe i po rannej mszy miano dzwon ciągnąć w górę. Radosny wiosenny ranek zajaśniał nad ziemią.

Ulice i cała przestrzeń, ciągnąca się od kościoła, aż do domu babki, były natłoczone ludźmi. Wszyscy tylko jedną myślą zajęci byli:

— Czy doczeka?... Czy w czas jeszcze dzwon się odezwie?...

Z ust do ust, wszystko donoszono babce, co się dzieje pod kościołem. Już było blizko południe. W tem niebo zaciągnęło się i czuć było burzę w powietrzu. Jak groźne oko Sędzi Najwyższego, spojrzało słońce, po raz ostatni z za chmur posępnych.

W tej chwili rozległo się dźwięczne, szerokobrzmiące pierwsze uderzenie dzwonu... Westchnienie ulgi uleciało z piersi tysiąca zgromadzonych ludzi, którzy stali w okół wyczekująco z odkrytemi głowami.

I cisza się uczyniła — tak wielka cisza — jakby naraz sen padł na wszystkich. I wszystkich oczy pobiegły ku oknu, w którem się teraz ukazało śmiertelnie blade oblicze babki, z czarnemi, wielkiemi oczyma.

Uniosła się na łożu i wyciągnęła rękę w kierunku, gdzie ostatnie promienie słońca błyskały po przez chmury, a usta jej szepnęły do swoich, którzy błagali, by się położyła:

— On sam, Stwórca, w miłosierdziu swem, jest teraz tu obecny, jakżebym mogła leżeć?...

W milczeniu i z radością patrzała w okno. Czarne chmury pokrywały już niebo i zasłoniły słońce. I naraz pociemniało. Dzwon rozlegał się, a metaliczne dźwięki płynęły jedne nad drugie, jakby się spieszyły i chciały wzajemnie prześcignąć. Z góry odpowiadał im huk grzmotów, wielki, potężny, majestatyczny, jakby całe niebo z łoskotem staczało się na ziemię. Grzmoty huczały jedne za drugimi, a błyskawice przerzynały niebo, jakby rozdzierały wiszące nad ziemią chmury w sztuki.

Ciepły, użyźniający deszcz wiosenny, którego wszyscy wyglądali, lunął ogromną, nieprzebraną nawałą, która w jednej chwili wszystko zalała, pokryła i wkrótce strumienie mętnej wody płynęły przez opustoszałą ulicę.

Babka spoczywała zadowolona i patrzała po obecnych.

— Chcę się jeszcze raz wyspowiadać — powiedziała.

Przed spowiedzią zwołała wszystkich do siebie. Zgromadziły się dzieci, wnuki i prawnuki, przyszła czeladź i domownicy. Babka każdego z osobna żegnała i prosiła o przebaczenie, mówiąc:

— O mojej ostatniej woli, dowiecie się później.

A potem kazała wszystkim wyjść z pokoju i przeprowadzała każdego długiem spojrzeniem. Najmłodszą wnuczkę, która była jakby żywym obrazem młodości babki, jak ona energiczna, słuszna, czarnooka, pozostawiła najdłużej przy sobie, a gładząc po głowie, mówiła:

— Tam, w mojej komodzie znajdziesz wszystko, w co mnie macie ubrać... a potem zrobisz porządek, przeglądniesz zapiski, rachunki, kwity, a co nie potrzebne spalisz... A teraz idź, chcę pozostać sama, z Bogiem moim...

Ulewa przeszła, słońce ukazało się znowu, promienne i uśmiechnięte, ozłaczając przeczyste, wypogodzone niebo. Nad wieżą kościelną spiętrzyły się szafirowe obłoki, o rąbkach perłowych i złotych i trwały tam, jakby

nieruchome. Z oddali dochodził jeszcze huk gromu, jakby turkot kół, ciężkiego oddalającego się pojazdu.

Pod oknami babki, krzak bzu rozwinął do połowy nagle zielone pąki.

Jedna jego kiść, śnieżnobiała, w wielkich kroplach rosy uderzała lekko o szybę. Babka rozkazała uchylić okna...

Spojrzała i uśmiechnęła się słabo.

— Bez... bez już zakwitł... A nie zapomnijcie okopać róż... – dodała.

Z głębi ogrodu, z pośród kępy starych jesionów, odzywała się raz poraz kukułka. Wesołe jej, przekorne kuku, wraz z napływającą wonią bzu do pokoju przypominały maj, młodość, wesele, szczęśliwe dziecięce lata i stanowiły dziwną sprzeczność z pokojem umierającej.

Czy babka myślała o tem?... Pewno nie. Zwróciła tylko głowę, a poszukawszy oczyma małego prawnuka powiedziała:

— A ty abyś mi nie płoszył ptasząt z ogrodu, bo inaczej liszki drzewa objedzą...

Pozostała do końca, jaką była, trzeźwą, praktyczną, dobrą, zrezygnowaną chrześcijanką, pełną cnoty, które jej dozwoliły podołać w życiu obowiązkom nad siły... Potem niczego już więcej od nas nie żądała, ani się odzywała.

Nad wieczorem leżała już ze złożonemi na piersiach rękoma, przykryta swą ciężką, jedwabną, brokatową kapą, którą sobie sama przygotowała – cicha, chłodna, obojętna na wszystko, co się dokoła niej działo w domu, w ogrodzie i na ulicy. Słowem, na wszystkie objawy życiowe. – Odpoczywała.

# Polski chleb — litewska woda.

„Lubię synów – to nasi
przyszli towarzysze".
*Mickiewicz.*

„Tęsknota sercu i myślom szkodzi" — Tęsknota jak rdza przegryza i pali — niszczy i łamie — tęsknota wiąże ręce — obcina skrzydła — gasi słońce nadziei, tęsknota — to noc. A przecież silny, potężny duch wieszcza naszego tęsknocie tej nie dał się pokonać, a przecież on i wobec niej umiał się oprzeć.

Że Mickiewicz, wygnany wcześnie z Ojczyzny, tęsknił za Litwą i Polską — któż nie wie? Znać to przecież w każdej jego myśli, znać z jego życia. A były nieraz dowody, które świadczyły, iż wielki śpiewak „Pana Tadeusza" cierpiał nadmiernie.

Podczas jego pobytu w Paryżu, gdy najstarsza córka, Maryla, wyjechała na krótki czas w Poznańskie, do rodziny, Mickiewicz pisał do niej:

„Gdy będziesz wracała, przywieź mi trochę tamtego chleba. Już tak dawno polskiego chleba nie miałem!"...

Czytając te słowa, ból serce przejmuje. O! jakże drogie musiało być wszystko sercu tego wielkiego poety, wszystko, co było ze stron ojczystych, gdy tak tęskni i prosi o kawałek chleba z polskiej ziemi, okruszynę tego posiłku z polskich kłosów, polskiego ziarna.

Lecz w innem miejscu, w wspomnieniach o Mickiewiczu, napisanych przez Władysława Mickiewicza, czytamy znów dowód serdeczny o tęsknocie poety.

Prosił on znajomych na Litwie, aby mu przysłali trochę wody z Niemna. Jechała z tamtych stron do Paryża pewna panna, więc przywiozła tułaczowi we flaszeczce, jako skarb cenny, odrobinę wody, zaczerpniętej z fali Niemna. Mickiewicz dar ten przyjął z radością i wzruszeniem. Schował. A gdy przyszedł na swiat synek maleńki, prosił kapłana, by przy chrzcie św. do polania głowy dziecięciu użył litewskiej wody. Tak tułacz-wygnaniec, gdy nie mógł swych dzieci w Ojczyźnie chować, pragnął chociaż kroplami święconej wody litewskiej czoło dziecka obmyć i na wielką miłość Ojczyzny namaścić.

Kruszyna polskiego chleba — kropla lite-

wskiej wody — były dla niego cennym podarkiem.

Dziś — ma on już blizko wiślane fale — i polskie kłosy szumią niedaleko jego trumny — dziś już i Zygmunt gra nad nim rozgłośnie i dźwięk polskiej mowy słychać w około. Jest w Ojczyźnie — lecz przecie — milczy i cichy. Mówił on: „l u b i ę s y n ó w — t o n a s i p r z y s z l i t o w a r z y s z e" — bo widział w przyszłości naszych synów — jako szermierzy za wielką sprawę — jako obrońców swobód i wolności. — On — czoło swego syna skrapiał wodą litewską na chrzest narodowy — my — posilajmy ich pieśniami „j e g o", a choć niejeden z nas

„Zginie, lecz tyle synom swym zostawi
„Sławy — nadziei, że staną się zdolni
„Rozerwać jarzmo — i — umierać wolni"!

*Jadwiga S.*

# Jaśko z Niegoszewa.

Noc już zapadała.

Ostatnie blaski słońca zachodzącego kryły się za staremi dębami, a cichy śpiew ptasząt powoli ustawał.

Pod rozłożystym dębem na gałęziach leszczyny i mchach leśnych, leżał chłopczyk dwuletni spiąc spokojnie. Przy nim z załamanemi rękoma siedziała młoda kobieta, a mąż jej, pan Marcin z Niegoszewa, stojąc pod dębem tak mówił:

— I czegoż płakać? W Bogu miej nadzieję!...

On nas wybawi z nieszczęścia, tylko oddajmy się Jemu w opiekę, On o nas nie zapomni.

Lecz pani Marcinowa z płaczem odpowiada:

— Wiele to już dni tułamy się jak nędzarze po tym lesie, wiele to już dni bez jedzenia i dachu nad głową, bez spoczynku w największej obawie o nasz majątek i o życie kryjemy się w lesie!!.

Czy to nie okropne cierpienie? Trudno łzy uspokoić, trudno się pocieszyć.

Rozpłakała się jeszcze żałośniej pani z Niegoszewa, a stojący opodal sąsiad, pan Wojciech z Zawiechowa, zbliżywszy się powiada:

— Nieszczęśni jesteśmy!.. Cały kraj zalany tatarskiemi hordami, domy popalone, lud w niewoli jęczy, dobytek zniszczony, a my nawet bronić się nie możemy.

— Uszliśmy ledwie z życiem, a i za to Bogu dziękujemy, żeśmy nie w niewoli — mówił Marcin.

— Nędzarzami jesteśmy nie mającymi dachu nad głową, znów z płaczem szepcze pani Marcinowa, a wrócić także nie będzie gdzie — wszystko spalone...

Pan Jaśko z Niegoszewa stara się pocieszać.

Niech tylko wróci pan Jan Zaklika, niech tylko wróci i powie, iż Tatarzy przeszli, to zaraz zabierzemy się do pracy i jaki taki dach nad głową będziemy mieli. Spodziewam się każdej chwili powrotu Zakliki — jakoś sobie radę damy, jedni drugich będziemy wspierali.

Pan Wojciech z Zawiechowa spojrzał na śpiące dziecko i rzecze:

Biedny Zaklika ledwie synka tego wyratował. Już go Tatarzyn jeden miał w ręku...

— Straszne takie życie, gdy nawet o życie dziecka w własnym dworze nie można być spokojnym.

— Pójdę ja obaczyć nieco dalej, może co usłyszę, czyli Tatarzy już poszli, może spotkam Zaklikę, powinien wrócić.

Poszedł pan Wojciech w gęstwinę, nadsłuchując czy gdzie niema Tatarów.

Pani Marcinowa nachyliła się nad dzieckiem i z litością patrzyła na tę główkę piękną.

— Zdaje mi się czasem, rzecze do męża, iż to moje własne dziecię, tak kocham tego Jasia — sierotkę...

C. d. n.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka — Druk. A. Rippera w Krakowie.

# DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY
DO NR. 5 „PRZODOWNICY“.

## Jaśko z Niegoszewa.

(Dokończenie).

— Całe szczęście sąsiada naszego w życiu tego dziecka, byle tylko chłopczyna chował się dobrze, byłby szczęśliwy, ojciec ma majątek.

— Czekaj!.. Jakiś szelest... Ktoś idzie... Oh Jezu!.. oby nie Tatarzy...

Pani Marcinowa z lękiem nachyliła się nad śpiącą dzieciną, jakby ją chciała sobą zasłonić.

Pan Marcin słucha... istotnie jakiś szmer dolata.

— Gdyby Tatarzy!.. szepcze do siebie... zginiemy.

Lecz oto z za gałęzi wysuwa się pan Wojciech i prowadzi bladego jak śmierć Zaklikę...

— Co się stało? woła Marcinowa...

— Ranny!..

— Tatarzyn przeszył go strzałą śmiertelnie...

— Biedne moje dziecię... jęknął pan Zaklika i padł omdlały na ziemię.

Poczęto go podnosić, wstrzymywać krew płynącą, złożono go na posłaniu z mchu i liści, ale rana była głęboka i kto wie, czy nie zatruta — chory zmienił się, jęczał, oczy mgłą zachodziły.

— Mój syn malutki... szeptał ranny... matki nie ma, zostanie sam jeden na świecie — bądźcie mu opiekunami, rodzicami dla niego bądźcie.

— Nie opuścimy go!..

— Kocham go jak własnego syna...

— Krzywdy mu nie uczynimy, rzecze pan Marcin z Niegoszewa, a w tej chwili puchacz jakimś dziwnym krzykiem, ozwał się w gęstwinie leśnej, dziecko zbudzone wyciągnęło rączki wołając: Tato! ranny zerwał się chcąc do syna pospieszyć, lecz bezsilny padł na posłanie.

Noc przeszła długa jak wiek.

Pan Zaklika żegnał sąsiadów i przyjaciół, żegnał syna jedynego, żegnał życie i Ojczyznę piękną choć biedną przez napady Tatarów.

— Tam pod dębem, na rozłożystej drodze na lewo od Krzyża, tam zakopane pieniądze — weźmiecie to i oddacie Jaśkowi gdy dorośnie — weźcie jego w opiekę, wychowajcie go uczciwie — niech Boga i Ojczyznę kocha... niech uczy się wrogów odpędzać...

Dzikim krzykiem znów puchacz się odzywa, chłód dreszczem wszystkich przejmuje noc czarna idzie i lęk jakiś rozsiewa...

A zdala słychać jakoby echem powtarzane dzikie krzyki hordy tatarskiej i płacz jeńców pędzonych szybko...

Gdy świt wszedł nad ziemię, mały Jaś już był sierotą, pan Zaklika zimny leżał na posłaniu z mchu, a promień słońca przedzierający się przez gąszcza na blade czoło kładł pocałunek pożegnalny.

Minęło od tej pory lat wiele.

Pomknęły one tak jak zwykle się dzieje. Dla jednych prędko i pogodnie przeszły one, dla drugich powoli i chmurnie, jak ręką nieszczęścia kolebane. Państwo Marcinowie z Niegoszewa żyli bardzo szczęśliwie...

Dał im Bóg syna, który wyrósł na chlubę rodziców. Był to młodzian piękny, dzielny i szlachetny, nawet król w Krakowie cenił

go bardzo i uważał za rycerza nieustraszonego.

Mieli się także państwo Marcinowie dostatnio i zamożnie. Wkrótce po owym napadzie Tatarów, zbudowali nowy, piękny dwór, gospodarstwo szło im dobrze, wioskę pana Zakliki wzięli pod swą opiekę i pieniędzy składali nie mało.

Aż stała się rzecz straszna.

Gdy Jaśko z Niegoszewa z królewskiem wojskiem poszedł na wroga, jakaś banda opryszków wpadła do Niegoszewa, zamordowała pana Marcina i jego żonę, służbę porwała w niewolę i znikła bez śladu.

Gdy młody rycerz wrócił do domu, zastał tylko dwie trumny i dwór pusty.

Nikt nie mógł mu powiedzieć skąd ta banda się zjawiła, gdzie się podziała.

Zbolały i smutny rycerz udał się do Krakowa na służbę rycerską. Niegoszewo stało puste i zniszczone.

A ludzie rozmaici szeptali i opowiadali o tem wszystkiem. Tylko Jaśko nic o tem nie wiedział. Jakaś chmura smutku osiadła na jego czole i cichy ból serce jego przygniatał.

---

W parę miesięcy później na zamku w Krakowie odbywało się wesele.

Huczną muzykę i śpiewy rozgłośne było słychać daleko.

Było to wesele króla Bolesława V z Kingą królewną węgierską.

W komnatach królewskich tany i śpiewy stoły uginają się pod dzbanami i misami, gości wiele, radość i szczęście dokoła.

Lecz oto Joanna ze Skały, piękna i młoda dziewica, z komnaty zabaw ucieka i spieszy do kościoła.

Jest to sierota, Ojca jej Tatarzy nie dawno zabili. Zginął on jako rycerz dzielny i obrońca Ojczyzny, Matkę straciła w kolebce. Sierotę przygarnęła i wychowała siostra króla, Salomea, z nią więc na wesele królewskie przyjechała. Ale chociaż wszyscy się weselą, Joanna przekrada się do kościoła, by chwilę w ciszy świątyni przedumać i Bogu polecić dusze rodziców.

Uklękła, wzniosła oczy, modli się.

Lecz słyszy jakby westchnienie głębokie.

— Kto tu być może?.. Wszyscy się bawią, zamek brzmi muzyką, kto tu wzdycha żałośnie?..

W kościele na zamku mroczno, trudno dojrzeć dalej, lecz słychać wyraźnie szept pacierza i jakby płacz tłumiony.

Joanna zbliża się ostrożnie... powoli — jeszcze krok, jeszcze dwa...

Rycerz młody i piękny ukrył twarz w dłonie i łka jak dziecko.

— Co wam rycerzu? pyta litościwie Joanna...

Podniósł oczy ku niej i nie wie zjawisko to ziemskie czy niebieskie... anioł to czy dziewica...

— Płaczecie rycerzu? Ciężka rana was boli?.. Co wam jest?..

Rycerz żałośnie szepce:

— Krzywdę mi wielką wyrządzono. Zamordowano moich rodziców — zabito ich bezlitośnie jako złoczyńców i to mię boli i to mię rani, iż nie mogę winnych ukarać ani dowiedzieć się dlaczego tak moich rodziców srogo ukarali...

— Ufajcie rycerzu, iż sprawiedliwość będzie wymierzona — będę sama o to prosiła króla — za zbrodnie musi być kara.

— Dziś słyszę wesołe śpiewy i muzykę radosną, a serce me cierpi i boleje wielce, rzecze znów rycerz, więc skryłem się w mrocznej świątyni, by Bogu swój smutek polecić.

Joanna wróciła do komnaty królewskiej i ujrzawszy stojącego na uboczu rycerza, przywiodła go do Salomei, swej opiekunki mówiąc:

— Oto biedny rycerz, któremu opryszkowie rodziców pomordowali — prosić pragnie o to, by mógł ukarać zbrodniarzy — by mógł się dowiedzieć, za co rodziców jego zabito.

Salomea zwróciła się do brata, króla Bo-

lesława V i opowiedziała o zbrodni spełnionej w Niegoszewie.

Gody weselne trwały długo i długo na zamku w Krakowie bawiono się wesoło. Jaśko z Niegoszewa swoją powagą i mądrością wyróżniał się od innych młodych rycerzy, Joanna coraz milej na niego spoglądała, Salomea, siostra królewska coraz więcej go ceniła.

Po miesiącu odbyły się na zamku zaręczyny Jaśka z Joanną. Wesele miało być urządzone wkrótce, bo Salomea sierotę Joannę chciała widzieć szczęśliwą.

---

Już do wesela parę dni tylko.

Już szczęście rozsnuło swoje srebrne niteczki i już haftuje na tej tkaninie datę dnia ślubu.

Już smutek odlata jak spłoszone ptaszę, już Niegoszewo nie będzie ruiną i pustką, już Jaśko nie będzie tułaczem bez domu... Joanna u kolan Salomei śni i marzy o dniu szczęścia.

Król i królowa wesele urządzą huczne, w komnatach na Wawelu muzyka zabrzmi, radość wypogodzi czoła, młodzi szczęśliwi pójdą ręka w rękę...

Wtem wchodzi Jaśko do komnaty...

Na czole rysa ponura, w oku ból i wstyd. Wyciąga dłoń, zwraca Joannie pierścionek..

— Weź!.. nie będę twoim mężem...

— Chryste!.. jęknęła Joanna i blada schyla się do kolan Salomei.

— Nie będę twoim mężem, nie jestem godny twej ręki, moje imię jest splamione na mojem nazwisku wina cięży.

Joanna wnosi dłonie błagalnie.

— Rycerzu!.. co się stało?.. Mów!.. dlaczego mi pierścionek wracasz — nie przeszywaj mego serca bolem, nie odtrącaj mej ręki.

— Nie możesz być żoną człowieka, którego rodzice splamili się czynem niegodziwym. Jestem nieszczęśliwy i życie me złamane. Za winy rodziców muszę pokutować, ażeby zmyć plamę z nazwiska.

Jaśko z Niegoszewa blady jest jak trup, a usta jego ledwie szepcą okropne wyrazy boleści.

Salomea przygarnia go ku sobie:

— Spocznij!.. powiedz co się stało?..

Jaśko opiera się o dębowy stół, opowiada:

— Podczas napadu Tatarów rodzice moi schowali się w gąszczy lasu. Tam sąsiad ich, pan Zaklika umierając oddał im w opiekę malutkiego syna i wskazał, gdzie ma skarb ukryty. Rodzice moi – rodzice... (rycerz ledwie to wymawia) majątek zabrali, a dziecko w opiekę oddane rzucili między nieznanych ludzi, skazując tę sierotę na nędzę i niedolę.

Przerwał opowiadanie Jaśko z Niegoszewa — Zdawało się, iż każde słowo pali go wstydem i rani bolem strasznym.

Po chwili mówi:

— To biedne dziecko wzrosło w opuszczeniu bez nauki i bez serc życzliwych. On właśnie, ten Zaklika, z bandą opryszków moich rodziców zamordował...

– To straszne!.. jękła Joanna i z łzami płaczu schyliła się do rąk Salomei.

Rodzice moi sierotę skrzywdzili, zabrali majątek, opieki mu nie dali; ja krzywdę nagrodzę — majątek mu oddam.

— Nie mogę być mężem waszym, nie mogę o ślubie myśleć, bo muszę za winy ojców pokutę odbyć i krzywdę wyrządzoną sierocie muszę naprawić. Bądźcie zdrowi!.. Gdy czyste będzie me imię – wrócę.

Skłonił się, oddał pierścień i wyszedł.

Biedna Joanna w łzach i jęku noc całą spędziła. Kto jest w stanie opisać wiele ona cierpiała i jaki ból ją ranił.

---

Minęło lat kilka.

Na wieżycy zamku Grodzickiego, stoi dziewica jak kwiat i w dal patrzy tęsknymi oczyma. Za góry, za lasy, myśl jej stęskniona biegnie, usta szepcą cichą skargę...

— Nie wraca!.. Tyle chwil tęsknoty i oczekiwania! Tyle łez i bolu, a nigdy pociechy. Gdzie znajdzie się dusza tak szlachetna i

czysta?.. Czcić i szanować go muszę, bo widzę, iż godniejszego czci nie ma...

Zeszła z wieży Joanna i w świetlicy jasnej do krosien usiada.

Salomea, zwana przez lud Swiętą, pociesza Joannę słowy nadziei.

– Obaczysz, iż on wróci. Przeczysta to dusza i godna by szczęście znalazła. Pielgrzymkę do Ziemi Świętej odbył pieszo. Poszedł do Rzymu, ażeby błagać o przebaczenie za winy rodziców. — Wszystko, co mu rodzice zostawili w majątku oddał to Zaklice, spędził przy nim rok cały, służąc, mu jak przyjaciel i nauczyciel, ażeby wzbudzić w nim szlachetne uczucia. – Teraz przez długi czas w służbie rycerskiej trwa, bo z blaskiem sławy chce po żonę przybyć.

— Kocham go i szanuję, rzecze Joanna, dlatego czekam na niego. Kto tak pragnie oczyścić imię rodziców z winy i plamy jak on, ten i sam nie spełni nic złego.

W kilka dni później, rycerz z orszakiem towarzyszy stanął u wrót zamku Grodzickiego. Wkrótce odbyło się wesele na zamku w Krakowie i Zaklika, jako przyjaciel szczery był gościem miłym.

W kilka lat później Jaśko z Niegoszewa wraz z żoną swą Joanną zbudowali klasztor w Zawichoście, a Salomea zamieszkała tam z siostrami jako przełożona zakonu.

Tacy to ludzie bywali w naszej ojczyźnie.

Tak za winy ojców odpłacać się umieli czynami dobrymi...

Jaśko z Niegoszewa, to postać godna pamięci.

# Żarciki i figliki.

**Potocki starosta kaniowski** ile szlachcicowi batogów sypnął jedną ręką, tyle potem tysięcy drugą, na zagojenie pierwszych dawał. Razu jednego powiedział pewnemu szlachcicowi, co mu naprzykrzał się w karczmie: Nema hroszy, ne budu byty.

**Jakich ludzi na świecie najwięcej.** U pana jednego trafiła się przy stole gadka, jakiego rzemiosła na świecie najwięcej. Powiada każdy swą, jeden krawców, drugi szewców etc. że się zgodzić nie mogą. Stańczyk tam niedaleko stojąc powie: „Panowie wszyscyście nie zgadli. Lekarzów najwięcej na świecie: a jeśli nie wierzycie, oto w tym tu mieście ukażę ich sto i więcej, trzy dni temu nie wynidzie". Założy się jeden pan zacny z Stańczykiem o sto złotych, a Stańczyk i o chłostę, że tego pokazać nie miał. Nazajutrz Stańczyk chodzi to do tego, to do owego gębę sobie obwinąwszy. Pytają go co by mu to było; powiada, że mu gęba spuchła, dla bolu ciężkiego zębów. Każdy z nich powiadał lekarstwo na zęby, co kto umiał albo wiedział, że ich dał spisać regiestr niemały. Trzeci dzień przyjdzie, także powiada pan, mniemając by prawda dla czego to Stańczyk czynił, niespodziewając się, każe mu aby po Piretrum do apteki posłał a chmiel w occie uwarzywszy tym zęby płukał. Stańczyk z regiestrem idzie, na którym naprzód pana onego napisać kazał. Pyta jeśliby mu się godziło wyliczać lekarze albo nie. Powstaną wszyscy słuchać, pan weźmie regestr, pyta, czemuby go naprzód między temi lekarzami położył? Odpowie Stańczyk: „boś mnie na zęby dobrego lekarstwa nauczył i ci wszyscy którem tu spisał". Śmiechu dosyć było. Wszyscy rzecz stańczykową pochwalili. Jednak prawda, co żywo to leczy. K temu

Gdyby leczeli sami doktorowie,
Hardziby byli, niech to kożdy powie.

**Ziarnka mądrości życiowej.**

— Najlepszej pomocy udziela ten, który nas uczy, jak sobie samym pomagać powinniśmy.

— Unikaj trosk niepotrzebnych; nie troszcz się o to, co było, a zmienić się nie da ale staraj się o to, co jest i być może, abyś był zawsze przygotowany! —

# DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY

DO NR. 5 „PRZODOWNICY“.

JAN SIER.

## SZKOŁA.

(Obrazek górnośląski).

Ku uczczeniu 10 rocznicy „Wrześni“.

I.

— Mamiczko, a kiedy ja pójdę do szkoły?

— Za tydzień, synku.

— Ale kiedy za tydzień?

— W poniedziałek, Karliczku. Będziesz musiał wcześnie wstawać, bo już o siódmej godzinie zaczyna się nauka. Taciczek pójdą na szychtę, ty do szkoły a mamiczka sami w domu zostaną. Będzie im się tu bardzo tęsknić!..

— A jak to tam będzie w tej szkole?

— Ładnie, Karliczku; będziesz się uczył, bawił, śpiewał...

— A czego ja się będę uczył?

— Czytać, pisać, rachować...

— To tak, jak z mamiczką, prawda?

— Och nie, synku! W domu uczysz się po polsku, a tam będziesz musiał po niemiecku... Kiedy ja nie umiem po niemiecku...

— Wiem, mój biedaczku, wiem, ale będziesz się musiał nauczyć, — rzekła matka smutnie, bo przypomniały się jej szkolne czasy, które miłymi dla niej nie były.

Synek bawił się stawianiem domku z klocków, matka zaś szyjąc na maszynie, puściła wodze wyobraźni. W pamięci ukazał się jej żywo obraz szkoły wiejskiej, do jakiej uczęszczała w wiosce swej rodzinnej, Olszynce, tam het nad brzegami Odry...

Była taka maleńka, jak jej Karliczek, teraz, kiedy ją matka zaprowadziła do szkoły, pamięta wszystkie pierwsze wrażenia doznane. A przechodząc potem kolejno myślą każdą klasę, uprzytomniała sobie twarze znajome nie zapomniała ani jednej. Wzdrygnęła się przy wspomnieniu klasy trzeciej, bo przypomnial się jej tyran Hartmann, nauczyciel, którego przysłano wtedy z Brandenburgii, celem skuteczniejszego przeprowadzenia wydanego wówczas zakazu nauki religii w języku polskim, oraz rozmowy polskiej między dziećmi.

Poprzednika jego, długoletniego kierownika szkoły, Kubicę spensyonowano, bo za dobry był. Pochodził z ludu śląskiego i kochał też dzieci całem sercem. Jak miło wspomnieć te godziny nauki religii z jego czasów! Modlił się z dziećmi po polsku, katechizm i bibiją polską im czytał i śpiewu polskich kościelnych pieśni ich uczył. A potem przyszedł ten okrutnik straszny, który za byle głupstwo popadał w furyę, klął jak piekielnik i do krwi dzieci katował.

Nie zapomni, jak jej koleżankę Waleskę Sosnę za to, że nie umiała po niemiecku rachować, wywlókł z ławki za włosy, wypoliczkował okrutnie, potem pod stół pchnął i brutalnie kopnął. Albo Franka Kaczmarczyka tak strasznie po głowie zbił, że na zawsze ogłuchł. A jej, za to, że rozmawiała po polsku, sześć prętów na ręce dał a podczas pauzy, kiedy się dzieci na placu gimnastycznym bawiły, nosić musiała zaprowadzony przez Hartmanna „ornat“ germanizacyjny, jarzmo z napisem na plecach: „Ich hab polnisch gesprochen“, na piersiach zaś: „Ich soll nicht polnisch sprechen“. Wtedy to właśnie obudziło się w niej poczucie narodowe polskie, ukochała język ojczysty, a znienawidziła prusaków. Dwanaście lat liczyła

a jednak zdawała sobie z tego wyraźnie sprawę. Postanowiła nie ustąpić i wytrwać. I choć jej, przyszło nieraz „ornat“ nosić, czyniła to chętnie, z dumą narodową!

I przypomniał się jej jeszcze ten najokropniejszy postępek Hartmana, kopnięcie chłopca w brzuch, wskutek czego w tydzień potem umarł. Sprawa oparła się o władze, wszelako skończyło się na drobnej karze pieniężnej i przeniesieniem go do innej miejscowości. *)

Już to piętnaście lat od tego czasu minęło, i choć już tam nie mieszka, przeprowadziwszy się po zamążwyjściu tu do Katowic, a tak jej to żywo jeszcze w pamięci stoi, jakby się to wczoraj stało. Nie zapomni chyba swych szkolnych czasów!

Drzwi się otwarły, wrócił mąż z kopalni. Chłopczyk skoczył do niego uradowany, żona zaś powitawszy się z nim również czule, poszła do kuchni obiad przygotować.

— Taciczku, za tydzień do szkoły, prawda?

— Za tydzień, synku...

II.

Matka siedzi smutna w domu i szyje bieliznę. Przy jednostajnym turkocie maszyny myśli jej zajęte są synem. Już od miesiąca chodzi do szkoły, dobrze się uczy, skarży się tylko, że po polsku rozmawiać nie wolno. Z kilkoma rówieśnikami zawarł przyjaźń koleżeńską, z którymi się po południu schodzi i zabawą wynagradza sobie niewolę szkolną.

Nauczono go już w szkole pacierza niemieckiego, ale pożal się Boże on go bezmyślnie wymawia, jak wyrazy śmiesznie przekręca! Że też to kościół pozwoli na takie poniewieranie modlitwy Pańskiej! Nie zaniedba ona jednak swego obowiązku matki — polki i przypilnuje, by się chłopiec w domu codziennie po polsku modlił i przeczytał z nią polski elementarz. W szkole dostał wczoraj niemiecki „fibel“ i dziś mieli po raz pierwszy z niego czytać. Biedne to polskie dziecko, od samej młodości podwójnie myśleć musi!

*) Wszystkie powyżej przytoczone fakta prześladowania dzieci polskich na Śląsku są autentyczne.

Ale,... dwunastą godzinę syrena fabryczna głosi; chłopiec niedługo wróci, trzeba mu coś zgotować. Wstała i postawiła na maszynce mleko do przygrzania, gdyż obiad będzie dopiero o 3 godzinie, gdy mąż z kopalni wróci.

Pod oknem zaczęli niebawem przechodzić robotnicy fabryczni, spiesząc na obiad. Za nim zaś ukazały się powracające ze szkoły dzieci.

Matka stanęła w oknie i wyglądała synka. Jakoś pierwszy zawsze przyleciał a dzisiaj coś się spaźnia. O, nawet dziewczęta już idą a jego jeszcze nie widać! Cóżby to miało znaczyć? Ale poczeka jeszcze. A kiedy już wszystkie dzieci przeszły a chłopiec jej nie zjawił się, zaniepokoiła się mocno i pobiegła na drugą stronę, do sąsiadki, której syn do tejsamej klasy uczęszczał.

— Janku, gdzie jest nasz Karlik? zapytała chłopca, zajadającego już obiad. Chłopak w pierwszej chwili przestraszył się mocno a potem drżąco odpowiedział:

— Karlika dziś nauczyciel mocno zbił i zostawił go teraz na godzinę „nachsitzungu“.

— Jezus, Marya! — krzyknęła matka i wybiegła pędem z izby. Poleciała do siebie, wzięła chustkę na głowę, zamknęła mieszkanie i pobiegła do szkoły.

Pędziła jak wiatr, bo niósł ją macierzyński ból serdeczny, jakim dusza, jej przejęta była. Nie zważała na gapiących się przechodniów, który sądzili, że waryatka biegnie, tak bowiem była zmieniona. Niczego ona nie widzi, tylko dziecko swe cierpiące i jako matka prawdziwa leci mu na pomoc. Choćby stu policyantów w drodze jej stanęło, ona do dziecka swego. dotrze. Taka jest miłość matki!

Wiedząc, gdzie klasa najniższa, bo zaprowadziła do niej synka z początkiem roku szkolnego, nie zważała na wołanie stróża, tylko pobiegła prosto na sam koniec korytarza. Bez zapukania otwarła gwałtownie drzwi i weszła zdyszana do klasy.

Chłopiec ujrzawszy ją, krzyknął:

— Mamiczko, moja mamiczko! — i por-

wał się do niej spłakany. Dopiero gdy go już w ramionach swych trzymała i do piersi tuliła, zauważyła nauczyciela, który tem gwałtownem wtargnięciem tak był z początku oszołomiony, że stanął jak wryty i ani słowa nie wyrzekł. Dopiero kiedy się zreflektował, krzyknął szorstko po niemiecku:

— Was ist das für eine Art und Weise, po co pani tu przyszła?

— Po dziecko swoje — odparła matka — bo mi je tu katujecie!

— Kto to pani powiedział?

— Wiem o tem. O te policzki spuchnięte i te sińce na rękach, co one znaczą? Wstydzi się pan!.. to to człowiek tak robi, wychowawca? Okrutniku pruski! Chłopak na wzmiankę o biciu rozpłakał się ponownie i aż się trząsł z rozżalenia.

Nauczyciela scena ta do wściekłości doprowadziła; zaczął kląć i wymyślać co niemiara. To złorzeczenie przypomniało matce Hartmanna.

Zupełnie jak tamten — pomyślała i gdy mu się lepiej przyjrzała, zauważyła, że to ten sam kat. Zesiwiał wprawdzie i twarz pomarszczona jednak oczy te same, te straszne wilcze oczy!

— Tak, tak — upewniała się — to on, on sam; co za zbieg okoliczności!

A nauczyciel tymczasem krzyczał:

— Ładna z pani matka, co dziecko na takiego upartusa wychowuje! Verdammte grosspolnische Hetzerei! Wie pani, za co syn jej ukarany został? Za to, że przyniósł książkę owiniętą w polską gazetę i na mój rozkaz nie chciał tej szmaty zdjąć. Powiedział mi bezczelnie, że to matką owinęła mu książkę i nakazała nie zdejmować gazety. Zwracam pani uwagę, że jest postępowanie karygodne i radzę zastosować się do życzeń szkoły, gdyż inaczej postaramy się o to inną drogą. Pani wie, że istnieje takie prawo, że można rodzicom zabrać dziecko na przymusowe wychowanie, gdy mu w domu złym przykładem świecą.

Impertynencye te oburzyły matkę do głębi pohamowała wszakże gniew a zapytała spokojnie:

— Przepraszam, czy mam z panem Hartmannem do czynienia?

— Jawohl!

— Więc nie omyliłam się. A pan mnie poznaje? Widzę, że nie; przypomnę się zatem. Był pan przed piętnastu laty wiejskim nauczycielem w Olszynce, prawda? Przypomina pan sobie w trzeciej klasie tę małą upartą Jadzię Skibiankę, którą pan katował, za rozmowę polską? Pamięta pan „ornat“ germanizacyjny, który nieraz nosić musiała a jednak ani razu z dziećmi po niemiecku nie rozmawiała. Otóż, panie Hartmann, ta mała Jadzia, to dzisiejsza żona górnika Brzozy, i matka jego syna Karola, któregoś pan dzisiaj również za polską sprawę skatował.

Dziwny zbieg okoliczności, prawda? A jednak nie tak dziwny jak się zdaje. To rzecz zupełnie naturalna. Krew matki tu się odezwała, polska buntownicza krew, która obudziła się we mnie wtedy, gdyś mnie pan katował za język polski. Uczułam wówczas, że mi się krzywda dzieje i postanowiłam mocno nie ustąpić a wytrwać!

— Tę krew polską — ciągnęła matka uroczystem głosem, przyciskając syna do serca lewem ramieniem, prawem zaś gestekulując żywo jakby dla dobitniejszego wyrażenia swych uczuć i myśli — tę serdeczną krew, panie Hartmann, syn mój wyssał z piersi razem z mlekiem matczynem i bądź pan pewny, że ona w nim nie wygaśnie! Choćbyś, pan, jeszcze okrutniejszych środków użył, nic wam to nie pomoże! I to jeszcze panu powiem, że szkoda, iż pan nie będzie mógł już dożyć dzieci mojego syna, to byś pan i w nich tę samą krew, ten sam bunt odnalazł!

Nie wiem, gdzieś się pan przez te długie lata obracał, ale tego jestem pewna, żeś pan wielkich sukcesów germanizacyjnych nie odniósł. Próżny wasz trud, „kulturträgerzy“, bo kiedyście zaczęli gwałtem, w nas Ślązakach obudził się duch polski, odezwała się polska krew buntownicza, nie znosząca przy-

musu. Pokochaliśmy całem sercem wszystko co polskie a znienawidzili na zawsze, was Prusaków.

A stało się to głównie u młodego pokolenia i jak to sami widzicie, uświadomienie narodowe, polskie stale najbardziej wśród młodych się szerzy, właśnie wśród tych, wobec których zastosowano już nowe bismarkowskie sposoby germanizacyjne. Czyś się, pan, ani razu nad tem głębiej nie zastanowił? Widać, że nie, bo byś się pan był przekonał, że te środki zawsze zawodziły i zawiodą.

Nie zniemczycie nas, bo niema w was miłości, a gdzie miłości niema, tam pró*ny trud wychowawczy! Postępujcie dalej gwałtem i brutalnością, my zaś matki — polki wychowywać będziemy dzieci miłością. Zobaczymy, kto dalej dojdzie!

A teraz — kończyła matka — czy mogę już chłopca zabrać?

Nauczyciel stał na katedrze jak wryty. Nic nie odpowiedział, tylko patrzył jakimś dziwnym wzrokiem w ten ciekawy obraz polskiej matki i syna. Coś podobnego jeszcze mu się nie zdarzyło. To przemówienie prostej żony górnika zdumiało go, mimowoli zaimponowało mu to. I była chwila momentalna, że obudziła się w nim szlachetniejsza cząstka duszy, przyćmiona zazwyczaj szablonem brutalnego systemu rządowego. Odezwało się sumienie i uczuł, że ta polska kobieta ma racyę. Zmieszał się i czuł się upokorzony.

— Panie Hartmann—powtórzyła matka— czy mogę już z dzieckiem swem odejść?

Zreflektował się, spojrzał na zegarek i rzekł:

— Godzina już upłynęła, może go pani zabrać.

Matka z dzieckiem wyszła. Nauczyciel zaś został jeszcze w klasie. Usiadł, zakrył oczy dłońmi, bo mu formalny chaos w głowie powstał.

Dość długo tak siedział i myślał, naraz zerwał się gwałtowny, uderzył gniewnie pięścią w stół i zaklął:

— Verdammte grosspolnische Hetzerei!

Potem opuścił szkołę i poszedł na piwo, na rachunek obiecanej mu przez inspektora „Ostmarkenzulagi".

# Perły humoru polskiego.

## Serce i pieczeń.

(Elegia).

Powietrzna niestałość ludzkiego gatunku!
  Co chwila to smak się nasz mieni:
W młodości marzymy o słodkim całunku,
  Na starość o tłustej pieczeni.

— O boski nektarze, ustaczka rumiane!
  Wykrzyka młodzieniec w zapędzie,
Za pierwszy całunek dawajcie w zamianę
  Choć Paktol — nic z tego nie będzie.

Gdy dziewczę mi szyję rączkami oplecie,
  A usta z ustami jej spoję,
To co mi po skarbach i co mi po świecie?
  O żywot, o wieczność nie stoję.

— O dzieło rąk bożych, mój kruchy baranie!
  Szepleni staruszek pod nosem, —
Niech w kąt się schowają i panny i panie,
  Com kochał, gdy byłem młokosem.

Ten udziec duszony tak usta rozczula,
  Jak żadne niewieście czułości;
A zwłaszcza, że octem zalana cebula
  Pomaga trawieniu tłustości.

Powiedźcie mi młodzi, powiedźcie mi starzy
  W obliczu sumienia i słońca:
Czy lepszy całunek, co ogniem się żarzy,
  Czy pieczeń na stole dymiąca?